

## Dziewczęta bez przyszłości?

Romuald Wiśniewski

**P**ROSzę pana, ona jest taka wredna i podła, że gorszej nie ma chyba na świecie. Myśli tylko o tym, żeby się nażreć. Przemasz, że tak mówię, ale ona naprawdę nie je, a żre! Wie pan, mąż jest chory na żołądek i musi dostawać najdelikatniejsze gatunki mięsa, ja też nie lubię byle czego, więc kupujemy poledwice po 110 zł, a ta dziewczucha, jak się do niej przysiadzie, to i ówierać kilo zeżre na raz. Czy ja zarabiam miliony, żeby pozwalać sobie na takie wydatki? A ona, proszę pana, wcale nie kocha naszego dziecka. My wieczorem chcemy gdzieś iść, patrzymy, a jej już nie ma. Pognąła. Za chłopami, oczywiście. Kino, kawiarnia, dancing. Ja się tyle nie wytańczę co ona, choć ukończyłam studia. To wstyd, żeby dziewczyna tak ganiała. A w ogóle — te dziewczuchy! Wszystkie jednakowe! W tym roku dwie rzuciły pracę bez wypowiedzenia, bo wyszły za mąż. Obie za żołnierzy. Ta też tylko marzy o ślubie. Żebym tylko mogła, wyrzuciłabym ją w jednej chwili. Tylko, że teraz trudno o dziewczynę. Co to się porobiło, nikt nie chce służyć? Więc muszę trzymać tego brudasa. Potwora...

lśni. A na dworze odwilż, chlapa, wokół domu błoto, a poza tym syn gospodarza, jeszcze w wieku przedszkolnym, nie usiedzi chwili spokojnie, pani domu zaś ma zbyt wypielegnowane paznokcie, by zajmować się porządkami. Zresztą sama stale podkreśla, że nie po to się tyle lat kształciła... Nieraz bywam w tym domu, „potwora” znam zatem ościwie. Jest to dziewczę lat około 17, niebrzydkie, dość schludnie wyglądające, malomówna, jak by nieco zaleźniona. Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy na jej temat.

A teraz siedzę sobie na ławeczce na skwerku i rozmawiam z „oskarżoną”. O pogodzie, o modzie, o filmach, wreszcie zahaczam o jej pracę. O tak, jest zadowolona, dostaje 800 zł miesięcznie i wyżywienie, poza tym otrzymała już od pani w prezencie trochę przynoszonej garderoby. Jedzenie jest bardzo dobre, nie można narzekać.

— Udało mi się — dodaje z zadowoleniem — spanie też dobre, właściwie dziecko i ja mamy swój osobny pokój: dziecko jest ruchliwe, ciągle coś spsoci, ale dobre, lubi mnie, może nawet lepiej niż swoją matkę, bo przecież cały czas jest ze mną.

Dokończenie na str. 4



Rys. Czesław Ingłot

**N**AJWIĘKSZYM gospodarzem domów mieszkalnych w Lublinie jest Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych „zawiadujący” aż 40 procentami tzw. zasobów mieszkaniowych, o powierzchni 664 tys. m<sup>2</sup>, na których zamieszkuje ponad 80 tys. osób. MZBM podzielony jest na dziewięć terenowych administracji domów mieszkalnych (ADM), które są bezpośrednim gospodarzem lokali. ADM zbiera od lokatorów czynsze, świadcząc w zamian szereg różnorodnych usług — od wynajęcia mieszkania przez jego konserwację, remonty, naprawy odpłatne i modernizację, aż po reprezentowanie interesów mieszkańców w innych przedsiębiorstwach jak elektrownia, gazownia, MPO itp. Praktycznie więc lokator ze wszystkimi sprawami związanymi z użytkowaniem przezeń mieszkaniem powinien zwracać się do ADM. Ta z kolei powinna wszystkie te sprawy załatwić... w miarę możliwości oczywiście.

Rzecz w tym właśnie, że możliwości owe są ograniczone. Składa się na to szereg skomplikowanych przyczyn. Najważniejsza z nich to chroniczny brak pieniędzy. Paradoxs? Po reformie czynszowej w 1965 r. powinno być odwrotnie? Ano, powinno. Faktycznie natomiast w budżecie MZBM w Lubli-

## DZIURAWY dach nad głową

Stanisław Harasimiuk

nie nie nastąpiły istotne, a spodziewane, zmiany.

W 1965 r. wpływy z czynszów wynosiły ok. 16 mln zł. Z kiesy WRN dodatkowo wpłynęła dotacja 19 mln zł (tzw. dotacja przedmiotowa, pokrywająca różnicę pomiędzy realnymi dochodami, a faktycznymi wydatkami). Zatem roczny budżet MZMB przed reformą czynszów zamknął się sumą 35 mln zł (przy zasobach mieszkaniowych 560 tys. m kw.). W roku 1967, przy wzroście zasobów mieszkaniowych o 85 tys. m kw., wpływy MZBM kształtowały się następująco: 32 mln zł z czynszów i dofinansowanie z budżetu WRN 6 100 tys. zł — razem 38 100 tys. zł. Czyli „budżet własny” MZBM w 1967 r. wzrósł w stosunku do roku 1965 zaledwie o

3 100 tys. zł (pamiętajmy o zwiększeniu się administrowanej powierzchni o 85 tys. m kw.). Realnie zatem na 1 m kw. wypada obecnie nawet minimalnie mniej niż przed podwyżką czynszów...

Kolejne fakty. W 1965 r. na konserwację i remonty bieżące MZBM wydatkował 4 375 tys. zł, czyli 7,81 zł na 1 m kw. powierzchni użytkowej — podczas gdy średnia krajowa wynosiła 12,27 zł. I dalej — na ten sam cel w roku 1968 przeznaczono tylko 6 749 tys. zł, aż o 33 proc. mniej niż w roku 1967 (10 116 tys. zł). Nie wolno przy tym zapominać, że zasoby mieszkaniowe administrowane przez MZBM w

Dokończenie na str. 5

## Jan Górec-Rosiński Rozstanie

Drzewo prowadzi pamięć do opadania liści. W konarach drzenie. Dzięcioł nadziei wybiera korniki: łoczą korę, miąższ, rdzeń, biegną korytarzami obłędu. W korzeniach cement.

## Rozdarcie listu

Gto pobojuwisko czulości. W barbarzyństwie dłoni spełnia się sąd ostateczny.

Bzy jak uśmiechy rozkwitły w dżbanie ulepionym ze słońca

pszczoły przyniosły ciszę brzęczeniem sadow

cisza ma kolor twoich oczu twoje oczy są moim niewidzeniem

trwasz we mnie jak rdzeń w miąższu

## Konferencje Wojewódzkie PZPR

**N**ARÓD polski... jest, będzie i pozostanie wolnym twórcą swych własnych dzieł — stwierdził na zakończenie V Zjazdu PZPR Władysław Gomułka. Dzięki odpowiednim soюзom polityczno-gospodarczym, leżącym w interesie zarówno naszego kraju jak i wspólnoty socjalistycznej, uzyskaliśmy warunki, aby te zasady konsekwentnie realizować. Wynika to jasno tak z dyskusji, jak i uchwał V Zjazdu.

W oparciu o te uchwały odbywały się ostatnio Wojewódzkie Konferencje Partijne, których zadaniem było — spoglądając na uzyskane efekty i wciąż wzrastające potrzeby społeczeństwa —

nakreślenie konkretnych zadań dla poszczególnych województw. Konferencje te odbyły się: 13 i 14 stycznia w Rzeszowie, 30 i 31 stycznia w Białymstoku, 7 i 8 lutego w Lublinie i Kielcach.

Na wszystkich czterech konferencjach podkreślano, że ludzie pracy wyrażali pełne poparcie dla Partii i jej polityki. Dały temu wyraz i dyskusje przedzjazdowe, i wzmożony wysiłek przy realizacji bieżących zadań, i podejmowanie dodatkowych zobowiązań produkcyjnych.

Konkretnym wyrazem nierozdzielnej wiary społeczeństwa z jego kierowniczą siłą — Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą — było we wszystkich czterech województwach przekroczenie planów produkcyjnych roku 1968. W po-

równaniu z rokiem poprzednim wzrost ten wyniósł: w woj. lubelskim 14 proc., w woj. białostockim 26 proc., w woj. kieleckim 14 proc., w woj. rzeszowskim 27 proc. Ponadto przeciętna krajowa wynosi 9,3 proc. — jasne jest, że nasze wschodnie województwa systematycznie i dość szybko odrabiają zaległości, jakie nagromadziły się na tych ziemiach dawnej Polski II.

Także i zbiory w rolnictwie były we wszystkich województwach wyższe niż kiedykolwiek — chociaż warunki klimatyczne nie należały do najlepszych. Jest to wynikiem generalnej ofensywy, podjętej w tym zakresie przez Partię, m.in. w formie znacznie zwiększonych dostaw nawozów sztucznych, maszyn i narzędzi, wdrażania lepszych form gospodarowania.

O stałym i większym niż zakładano postępie gospodarczym zarówno całego kraju jak i naszych czterech województw świadczy fakt, że suma nakładów inwestycyjnych w latach 1966—68 była we wszystkich przypadkach znacznie wyższa od ustaleń pięcioletki, przeciętnie o 1—2 miliardów zł. Także zdania na końcówce lata planu pięcioletniego są obecnie wyższe niż projektowano to początkowo.

W ostatnich trzech latach w każdym województwie oddano do użytku od 100 do 1 000 nowych izb lekcyjnych. W jednym tylko Białymstoku utworzono filię Uniwersytetu Warszawskiego o dwóch kierunkach kształcenia, rozszerzono zakres nauczania w WSI, dokonano już naboru młodzieży na Wydział Stomatologiczny AM, który został otwarty w tym roku akademickim. W woj. lubelskim np. działa 5 130 placówek kulturalno-oświatowych, liczba telewizorów od poprzedniej wojewódzkiej konferencji wzrosła o 40 tys. W Rzeszowie powstało małe jezyczko, ale coraz bardziej preżne środowisko literackie. Wszędzie rosła nakłady pism, zwiększa się sprzedaż książek. (W ostatnich dwóch latach np. średni nakład „Kamena” wzrósł o 17,8 proc.)

Znamiennym rysem programów, nakreślonych przez V Zjazd dla całego kraju, a przez wojewódzkie konferencje dla województw, jest kompleksowe ujęcie zadań gospodarczych, ideologicznych i politycznych. W ofensywie ideologicznej na czoło wysuwa się konsekwentna walka z poglądami rewizjonistycznymi i wszelkimi tendencjami antysocjalistycznymi. W połączeniu z konkretnymi zadaniami gospodarczymi wytyczają one drogę jeszcze lepszemu, szybszemu i pełniejszemu budownictwu socjalistycznego.

Na wojewódzkich konferencjach wybrano Sekretariaty Komitetów Wojewódzkich w następującym składzie:

**LUBLIN:** I sekretarz — Władysław Kozdra, sekretarze — Józef Frackowiak, Edward Machocki, Ryszard Wójcik, Henryk Świdorski.

**BIAŁYSTOK:** I sekretarz — Arkadiusz Laszewicz, sekretarze — Stanisław Kudła, Witold Mikulski, Aleksander Młodzianowski, Siergiusz Rubczewski.

**KIELCE:** I sekretarz — Tadeusz Rudolf, sekretarze — Henryk Sobon, Bogusław Stachura, Józef Stański, Eugeniusz Wójcik.

**RZESZÓW:** I sekretarz — członek Biura Politycznego KC Władysław Kruczek, sekretarze — Michał Cygan, Józef Klubek, Stanisław Ryba, Stanisław Szkraba.



# Inżynierowie ze Świdnika o sobie

Tadeusz Tymoszuk



Fot. Michał Trachman

JEDEN ze stu ankietowanych inżynierów tak napisał: Moja wyuczona specjalność to obróbka plastyczna, ale pracuję w transporcie wewnętrznym. Chociaż zarabiam 4300 zł nie jestem zadowolony z wykonywanej pracy, ponieważ nie jest ona zgodna z moimi kwalifikacjami i zainteresowaniami.

Ba — ileż zmian kadrowych trzeba by dokonać, gdyby każdy z nas miał pracować zgodnie z kwalifikacjami i zainteresowaniami. Niby tak być powinno, a przecież często nie jest, bo najpierw o miejscu pracy, a potem rodzaju zatrudnienia decydują różne czynniki obiektywne i subiektywne. Nie chodzi mi jednak o rozważania teoretyczne, ale rezultaty konkretnych badań, przeprowadzonych wśród kadry inżynierskiej Wytwórnicy Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku.

Kiedyś nazywano Świdnik miastem przyszłości. Dopiero się budowało razem z fabryką, wolać nie tylko na całe województwo: szukamy fachowców! Wołanie przeszło nie dalo zbyt wielkich efektów, bo zarówno znakomita większość robotników jak i techników czy inżynierów to ludzie z Lubelszczyzny, z których wcale pokazać na część swoje świadectwa czy dyplomy zdobyła już po rozpoczęciu pracy w WSK. I tym miastem przyszłości Świdnik chyba pozostał do dzisiaj. Fabryka rozbudowuje się nadal, w mieście powstają wciąż nowe bloki mieszkalne, przeciętna wieku inżynierów i techników jest o kilka lat niższa niż w przemyśle krajowym.

Ale wracajmy do ankiety, przeprowadzonej anonimowo wśród przypadkowo dobranej grupy stu inżynierów, uzupełnionej potem rozmowami. Ankieta, którą przeprowadziłem za zgodą władz fabryki, obejmowała wiele pytań, dotyczących stosunku do wybranego zawodu i wykonywanej pracy. Tu chciałbym przedstawić tylko kilka najbardziej charakterystycznych. Tyle, że uogólnienia, odnosząc się do WSK, być może nie pokrywałyby się z wynikami badań w innych zakładach pracy — jednak mimo to warto się nad nimi zastanowić. I chyba wyciągnąć wnioski w innych fabrykach.

Najpierw kilka słów o tych, którzy dawali odpowiedzi. A więc wszyscy ukończyli studia w Polsce Ludowej. Przeciętny wiek wynosił 32,5 roku, 88 proc. ankietowanych nie ukończyło jeszcze 50 lat życia. Prawie trzecia część zdobyła dyplom na studiach wieczorowych, połowa posiadała tytuły inżynierów magistrów, 44 proc. pochodziło z rodzin chłopskich, 33 proc. z rodzin robotniczych, 18 proc. to dzieci inteligentów pracujących, 5 proc. rzemieślników. Tak więc skład społeczny był w miarę odbicie zmian, jakie zachodziły i zachodzą w naszym społeczeństwie.

W pierwszym pytaniu chodziło o ustalenie motywów wyboru zawodu. Nie jest to — jak wielu uważa — wyłącznie sprawa osobista. Wiąże się bowiem ze strukturą zatrudnienia i bilansem kadr w skali całego kraju, jest wynikiem możli-

wości kształcenia się, a jednocześnie wpływa na rozdział środków, przeznaczonych na kształcenie.

Tak więc 28 odpowiedziało, że wybór zawodu był wynikiem zamiłowań do techniki i nauk ścisłych, 15 — chęci zdobycia wyższego wykształcenia w ogóle, 14 — zdobycia zawodu w ogóle, 12 — perspektywy samodzielnej pracy, 12 — zainteresowań wynikłych z pracy przed podjęciem studiów, 6 — wysokiego prestiżu zawodu. Tylko jeden wyznał, że działała tu namowa rodziców, a 10 wybrało zawód inżyniera, ponieważ daje on perspektywę dobrego zarobku. Warto tu podkreślić dwa stwierdzenia. Pierwsze — że wbrew naszym wyobrażeniom perspektywa dobrych zarobków nie jest decydująca, więcej — jest jednym z najmniej ważnych czynników. Drugie — nikły wpływ rodziców, a więc samodzielność w wyborze zawodu.

Socjologowie jednak do takich badań odnoszą się z pewną rezerwą. Twierdzą mianowicie, że odpowiedzi na tego rodzaju pytania są wyrazem dzisiejszych odczuć ankietowanych, którzy — logicznie porządkując swoje życie — poglądy dzisiejszy przenoszą na przeszłość. Trudno odpowiedzieć, ile jest w tym prawdy.

Mniej dyskusyjne są odpowiedzi na pytanie: czy jest pan zadowolony z wybranego zawodu? 50 odpowiedzi brzmiało „tak”, a 41 „raczej tak”, przy czym w pierwszej grupie mieszczą się wszyscy młodzi. Całkowicie niezadowolonych było tylko dwóch i to właśnie ludzie w pełni sił twórczych, pomiędzy 30 a 40 rokiem życia.

Ale na tym stwierdzeniu nie można poprzestać, jest bowiem jeszcze siedmiu takich, którzy odpowiedzili „raczej nie”. W sumie niezadowolonych jest 9 proc. — wystarczająco dużo, aby przy innej okazji zająć się tym problemem bardziej szczegółowo. Można jednak przypuszczać, że odpowiadający pomylili tu pojęcia zadowolenia z zawodu i zadowolenia z wykonywanej pracy. Na inne pytania bowiem 68 proc. odpowiedziało, że gdyby z góry wiedzieli, jakie będą mieli warunki pracy, nie wybrałoby zawodu inżynierskiego — ale równocześnie 82 proc. wyraziło zdanie, że nie zmieniłoby zawodu. Można więc powiedzieć, że stan zadowolenia z wybranego zawodu rodzi się na tle stosunku do wykonywanej konkretnej pracy.

A z wykonywanej pracy w pełni zadowolonych było tylko 16, natomiast 52 „raczej zadowolonych”. Szczególnie dużo pretensji do swojej pracy mają inżynierowie młodzi wiekiem i stażem pracy. Wbrew pozorom nie można tego uważać za zjawisko ujemne. Dalsze rozmowy z odpowiadającymi, jak również innymi ludźmi w fabryce, wykazały, że chodzi tu o pewnego rodzaju rozczarowanie, jakie występuje w pierwszym okresie pracy. Młody inżynier ma duże kwalifikacje teoretyczne, a często jeszcze większe aspiracje, co nie jest cechą złą. Ale w fabryce, zwłaszcza dużej, młodemu inżynierowi niechętnie powierza się odpowiedzialną pracę. Po krótkim czasie dochodzi on do

wniosku, że właściwie niepotrzebnie zdobywał dyplom. Spodziewał się twórczej, koncepcyjnej pracy, a musi wykonywać niezbyt skomplikowane zadania, z którymi niekiedy technik z dłuższym stażem pracy radzi sobie lepiej niż on. Stąd też czwarta część młodych inżynierów uważa, że wykonywana przez nich praca jest w bardzo małym stopniu zgodna ze zdobytymi kwalifikacjami, a prawie połowa, że tylko częściowo zgodna.

W miarę upływu lat pracy sytuacja ulega wyraźnej poprawie, co znaczy, że inżynierowie coraz częściej otrzymują odpowiadającą im pracę. Ale do ideału — jak zwykle — daleko. Ponad połowa jest zdania, że w fabryce jest praca jeszcze bardziej zgodna z ich kwalifikacjami i ją właśnie chcieliby wykonywać. Ile jest w tych ocenach obiektywizmu — trudno powiedzieć.

„Zmierzenie” wykorzystania czasu pracy inżyniera jest bardzo trudne. Nie istnieją tu żadne obiektywne mierniki, a wszelkie odczucia indywidualne mogą być niepełne lub nawet w dużym stopniu niezgodne z rzeczywistością. Ale nawet przy tych wszystkich zastrzeżeniach trzeba liczyć się z tym indywidualnym odczuciem, bo od tego w dużym stopniu zależy efektywność pracy.

Jak to odczuwają inżynierowie? Wszyscy są zdania, że stosunkowo dużo czasu poświęcają na pracę, nie związaną bezpośrednio z ich zawodem. Tylko 10 wyraziło opinię, że cały swój czas oddają pracy zawodowej, natomiast 26 skarżyło się, że tej pracy może poświęcić najwyżej połowę swego czasu, w skrajnych wypadkach tylko jedną piątą. Prawdopodobnie chodzi tu o inżynierów, pełniących funkcje administracyjne. Takiej sytuacji, oczywiście, nie da się w pełni zlikwidować. Chyba jednak rzeczywistość jest jeszcze wiele niepotrzebnej sprawozdawczości, zebrań i narad, które nie nie załatwiają poza spisaniem sążnistego protokołu. Poważne ograniczenie tych wszystkich czynności, a co najmniej przerzucenie ich na innych ludzi, pozwoliłoby na uzyskanie znacznej liczby godzin inżynierskiej pracy — w konstrukcji, technologii, wdrażaniu postępu technicznego itd. itd. Można by w ten sposób poważnie zmniejszyć deficyt kadr technicznych, odczuwany w wielu dziedzinach naszej gospodarki, a w konsekwencji zwiększyć efekty ekonomiczne, które w ogólnym rachunku pokryłyby wydatki związane z zatrudnieniem większej liczby pracowników administracyjnych.

Czas inżynierskiej pracy jest tym bardziej cenny, im jego bezpośredni dysponent podnosi swoje kwalifikacje. Uczelnia daje aktualną wiedzę w danej specjalności. Nie ma chyba konieczności uzasadniania potrzeby wzbogacania i doskonalenia tej wiedzy, zwłaszcza w technice. Jak to wygląda w praktyce?

Okazuje się, że w świdnickiej WSK 81 proc. inżynierów w dalszym ciągu podnosi swoje kwalifikacje, chociaż tylko połowa z nich odpowiedziała zdecydowanie „tak”, a druga połowa „raczej tak”, natomiast 6 napisała „nie”. Najwięcej odpowiedzi negatywnych było wśród

młodych inżynierów, którzy tuż po zakończeniu uczelni uważają, że wiedzą wszystko. To błędne, oczywiście, mniemanie szybko jednak zanika i wszyscy, którzy pracują co najmniej 10 lat, kształcą się nadal.

W jaki sposób? Okazuje się, że trzy czwarte ankietowanych robi to metodą samokształcenia — czytając literaturę fachową. Nie wydaje się aby w ten sposób można było wystarczająco uzupełniać wiedzę zawodową. Tylko 8 proc. uczestniczy w różnych kursach, jedynie 6 proc. uczęszcza systematycznie na odczyty i konferencje techniczne, a 5 proc. studiuje zaocznie celem zdobycia tytułu inżyniera magistra.

Tak więc obraz nie jest zbyt pocieszający. Jakie czynniki — zdaniem zainteresowanych — przeszkadzają im lub zniechęcają ich do dalszego kształcenia się? Na stu odpowiedziach 27 uważało, że utrudnia im dalszą naukę zbyt duży zakres obowiązków służbowych, ale aż 41 podkreślało brak zachęty ze strony przedsiębiorstwa oraz panującą w nim atmosferę, która — ich zdaniem — nie sprzyja podnoszeniu kwalifikacji. Również 27 odpowiedziało, że nie widzą odpowiednich możliwości — brak kursów o odpowiedniej tematyce, niedostateczne wyposażenie biblioteki zakładowej itp. Wreszcie 16 tłumaczyło, że charakter wykonywanej przez nich pracy (prosta, nieskomplikowana) nie wymaga dalszego podnoszenia kwalifikacji. Na większe trudności skarżyli się znowu młodzi.

Duży zakład pracy — a takim przecież jest WSK — zatrudnia bardzo liczną kadrę inżynierską. Precyzyjne wyroby wymagają nie tylko dużych, ale i bardzo różnorodnych kwalifikacji. Nie zawsze jednak udaje się zdobyć inżyniera z takimi umiejętnościami, jakie właśnie są potrzebne. Przyjęcie do pracy zależy bowiem jeszcze nie tylko od kwalifikacji, ale i możliwości zapewnienia odpowiedniego mieszkania, nie mówiąc o innych osobistych czynnikach. W interesie zakładu leży możliwie najlepsze rozmieszczenie i wykorzystanie kadry technicznej. Przy dużej grupie nie zawsze to jest możliwe. Zresztą te same kryteria, te same kwalifikacje są inaczej oceniane przez fabrykę, a inaczej przez samych zainteresowanych. Stąd czasem powstaje niezadowolone, czasem konflikty. Tu leży źródło odpowiedzi, cytowanej na początku.

Analiza 98 odpowiedzi (2 nie odpowiedziało) wykazała, że 35 jest zdania, iż wykonuje pracę całkowicie zgodną z kwalifikacjami, zdobyłymi w czasie studiów, natomiast 45 było zdania, że ta zgodność jest tylko częściowa, a 18 — w bardzo małym stopniu. Taka sytuacja niewątpliwie hamuje proces identyfikacji z zawodem i miejscem pracy. A równocześnie w pewnym stopniu wyjaśnia przyczyny niezadowolonych bądź z posiadanej zawodu, bądź z wykonywanej pracy — o czym była mowa wyżej.

No dobrze — ale jeżeli już ma się określoną pracę, to czego ona wymaga, czego żąda przedsiębiorstwo, niezależnie od tego, czy spełnienie tych żądań ułatwia czy nie? Najczęściej inżynierowie udzielali trzech odpowiedzi. A więc w 63

wypadkach mówiono o konieczności systematycznego studiowania literatury naukowej i prasy fachowej, w 61 o znajomości języków obcych (1), w 59 — o okresowych zapoznawaniach się z metodami, stosowanymi w innych podobnych przedsiębiorstwach, w 55 — o dużej samodzielności dobrego, ale w wąskim zakresie, opanowania umiejętności technicznych, wreszcie 35 odpowiedzi podkreślało konieczność zaznajomienia się z problematyką ekonomiczną, a szczególnie metodami zarządzania, planowania i rachunku ekonomicznego.

Trzeba tu zwrócić uwagę na dwie sprawy. Pierwsza — niezwykle wysoko ceniona znajomość języków obcych. Jest to, oczywiście, konieczne, jeżeli chce się studiować na bieżąco światową literaturę czy prasę techniczną. Wydaje się wątpliwe, aby szkoła średnia czy lektoraty na wyższych uczelniach przygotowały inżyniera do takiego czytania — znajomość języka będzie wciąż typu szkolnego i wymaga dalszej nauki, tak samo precyzyjnej, jak precyzyjna jest sama technika. Druga sprawa to chyba wciąż niedoceniana w środowisku technicznym znajomość zagadnień ekonomicznych. Stosunkowo mała liczba wypowiedzi na ten temat jest chyba wynikiem tego, iż o ekonomii mówili raczej inżynierowie sprawujący funkcje administracyjne, a więc z konieczności codziennie nатыkający się na problemy ekonomiczne. Szkoda, że nie doceniają tego konstruktorzy czy technolodzy.

Wreszcie kilka zdań o ocenie stosunków międzyludzkich przez inżynierów. Zależność od cudzej woli w stosunkach przełożony — podświadnie stwarza wiele okazji do zadrznięcia i uprzedzenia. Dzieje się to na płaszczyźnie hierarchicznej, zawodowej, osobistej. Ma skomplikowane konsekwencje, które nieraz bardzo poważnie odbijają się na efektach pracy.

Jak wynika z ankiety, 41 proc. respondentów jest w pełni zadowolonych z właściwego układu stosunków międzyludzkich, a 35 proc. jest zadowolonych z uznania przełożonych. Ale duży odsetek, bo aż 30 proc., wyraża niezadowolone z owych stosunków, natomiast 23 proc. twierdzi, że ich praca nie znajduje uznania w oczach przełożonych. Do pełnego obrazu dodajmy, że trzecia część pytanym nie udzieliła odpowiedzi na żadne z tych pytań — mimo że ankieta była anonimowa. Trudno przypuścić, aby nie mieli na ten temat swego zdania, musieli jednak działać dość silne hamulce, powstrzymujące przed udzieleniem odpowiedzi.

W sumie trzeba stwierdzić, że zbyt duży procent niezadowolonych wpływa na rozluźnienie więzów z zakładem pracy wśród starszych inżynierów, a utrudnia adaptację młodych. Nie tylko kierownictwo zakładu, ale i działające w nim organizacje powinny się tym sprawom przyjrzeć bardziej wnikliwie i samokrytycznie niż dotychczas.

# Po Zjeździe ZLP

Dokończenie ze str. 1

zyci małego realizmu, ani kreować wizji świata naturowo ułożonej i bezkonfliktowej. Stworzenie optymistycznej, bładoróżowej, ekologicznej i sentymentalnej, opiszującej bardziej chętnie robotnika w domowych pieleszach aniżeli w dziale, w pracy produkcyjnej, w walce o lepszą jakość jego pracy, w sporze z konformizmem kierownictwa, z absurdalnością planowania, z jałowością pozornej życia politycznego... Świat i życie pracującego człowieka trzeba więc widzieć wnikliwie i konfliktowo i to będzie gwarancją powstania interesującej powieści współczesnej o temacie pracy.

Sprawy związane z teraźniejszością i dniem jutrzejszym naszej literatury znalazły szerokie odbicie podczas dyskusji. W 25-lecie Polskiej Ludowej pamiętajmy o tym — stwierdził Zbigniew Żalusi — że ukracamy w trzeci etap rewolucji kulturalnej... Teraz czas na okres trzeci, na okres setnej książki dla nowego czytelnika, nie książek młodych inżynierów. A Janusz Wilhelm, wybiegając myślami jeszcze bardziej naprzód, mówił: Kiedy myślimy zatem o ogromnym kroku, który musimy uczynić w wiek XXI, powinniśmy sobie zdawać sprawę, że krok ten nie będzie możliwy bez dynamicznego i szerokiego pobudzenia twórczości. Samo powielanie, naśladownictwo i wykorzystywanie wzorców już istniejących nie wystarczy. To pobudzenie twórczości musi dotyczyć wszystkich dziedzin pracy i obejmować wszystkie formy aktywności. I nie jest tak, aby któryś koliczek z twórców mógł się zastrzec: ja odpowiadam tylko za siebie, za swoją pracę, za swoje wierze, za swój dramat. Nie, każdy z nas odpowiada za wszystko, ponieważ w rzeczywistym przebiegu historycznym fakty kulturalne łączą się ze sobą nierozdzielnie, teoria fizyczna staje się odległym, pośrednim lecz niewątpliwym bodźcem rozwoju sztuki, sztuka poprzez swoje wpływy na osobowość nieoczekiwanie owocuje w nauce, a jedna i druga razem stanowią podłoże dla płodnej, śmiałej i racjonalnej praktyki społecznej.

Na Zjeździe wiele mówiono o roli pisarza, o jego miejscu w kraju. Nie może pisarz — jak słusznie podkreślił Stefan Otwinowski — iść do czytelnika i powiedzieć, że się nie zna na sprawach politycznych i społecznych, bo byłby „spalony”. Tu następuje związek pisarza z życiem. Nie ma literatury bez społeczeństwa, tak jak nie ma światła społeczeństwa bez literatury.

Wspominając wielką imprezę bydgoską nie sposób wreszcie nie odnotować pięknego wystąpienia

Juliana Przybosi, zwłaszcza, że nawiązał on do okresu Polaki Lubelskiej i napomknął o locie do Zamościa po pierwsze zbiorki poetyckie, które drukowały się w tamtejszej drukarni. Julian Przybosi, wruszającą mową o tym, jak Krajowa Rada Narodowa uchwalala wydanie narodowe dzieł Mickiewicza i ogłaszala ustawę o powszechnym obowiązku zakładania bibliotek publicznych. Kiedy więc wówczas podniosłem rękę, głosując za ustawą o bibliotekach, miałem uczucie, że ustanawiamy najważniejszy artykuł konstytucji kultury polskiej, że obdarowujemy literaturę polską jakąś „Magna Charta Libertatum”, że chwilą to podniosła, bo oto po stu niemal latach od śmierci Mickiewicza urzeczywistniamy słowa wypowiedziane w epilogu do „Pana Tadeusza”.

Sumując Zjazd bygoski, trzeba nazwać spotkanie nad Brdą niezwykle rzecowym, odbyłym w nastroju powagi i spokoju. Wprowadzone do statutu Związku poprawki pozwoliła skreślić z szeregu ZLP tych członków, którym udowodniono współpracę z dywersyjnymi ośrodkami propagandowymi zagranicą.

Na czelu nowego Zarządu Głównego ponownie stanął Jarosław Iwaszkiewicz. Z kronikarskiego obowiązku (i ze smutkiem) trzeba stwierdzić, że ani w Zarządzie Głównym, jak również w Sądzie Koleżeńskim i Komisji Rewizyjnej nie ma przedstawiciela środowiska lubelskiego i rzeszowskiego. (J)



Jarosław Iwaszkiewicz ponownie został wybrany prezesem ZG ZLP. Fot. D. B. Lomaczewska

ZIMOWA niedziela. Majdan Nepryski, wieś w pow. bilgorajskim. Bardzo zwykła wieś typu „szadówka”: ponad dwa kilometry ciągnie się ciasny korytarz śródlasowej ulicy. Domy też zwykłe: drewniane, parterowe, niebieszczone, obok nich piętrowe i murowane. Normalny pejzaż wiejski to 25 lat po wyrośnięciu. Nawet trochę szkoda, że tych murowanych coraz więcej, że słomą kryte, pięknie rozłożyste chałupy nikną z roku na rok. Niknie egzotyka i indywidualność, banal i uniform rządzić się coraz pewniej.

No tak, ale to tylko smętne uwagi widza, kogoś z zewnątrz, który ma w mieszkaniu gaz, łazienkę i centralne ogrzewanie. Racje są po stronie murowanych piętrusów, racje najmocniejsze, bo użytkarne. Taki jest ostatecznie kierunek rozwoju cywilizacji. Gdzieś tam jednak marzy się choćby jeden stary dom ocynkowy.

I nagle inny świat: kapliczka z bilgorajskim Frasobliwym. Fioletowo-żółto-żółte płomyki barw na szorej miękkości wieczoru. Ciepło, choć mróz trzeszczy drzewami. Figurka jest niewielka, postać o dużej głowie pochylona w tradycyjnym geście zafrasowanego gospodarza, usta i policzki pokrywa róż. Taki jest trochę, jak gipsowy Kościuszko z jarmarku czy odpustu. Tylko nie zadziorny, nie chwacki, nie groteskowo-heroiczny. Czy ja wiem, chyba żąszony. On tam, wysoko, że się czuje, on wychował się w innych warunkach, drewno jego ciała nie zgodzi się z cegłą murowanych domów. A może przyjdzie pani z miasta i porwie świątka do salonu, gdzie żelazne płucg odkurzacza przypuści światłość i radość istnienia? Wątpię, a Grześkowiak przytaknie.

Kapliczkę miją dziewczyna: niska, grubaśna, siodłata, nogi w długich skórzanych kozakach. Twarz okrągła, jakoś apetyczna, a na niej ostatni ślad władzy świątka: taki sam, jak u niego, kolor ust i policzków! Oczuwiście — zbieżność przypadkowa, racjonalne wychowanie nie dopuszcza innej interpretacji, a może w ogóle wydawało mi się ciut, ciut za wiele. Silne jest to pragnienie konstruowania życia według literackich wzorców. Tylko skąd u osobnika karmionego antypowieścią i „nową falą” anachroniczne nawroty do XIX-wiecznego modelu opowiadania z zaskakującą pointą à la Mauissant? Widocznie skłonność do dramatyzowania nudnawej codzienności jest na trwałe związana z naturą człowieka.

Gra muzyka. Na obszerny plac obok remizy strażackiej, gdzie i świetlica i klub „Ruchu”, wjeżdża kawalkada „Wół”, „Warszaw”, „Sanów”, „Nys” — całe rodziny i delegaci sojuszniczego przemysłu motoryzacyjnego na nepryskim salonie. Strażacy i cywile w ciemnych garniturach w gorączkowym podnieceniu kierują przybyłych — jednych bezpośrednio do sali widowiskowej, innych do zaiszowego

klubu na zapleczu. Po czym pozostają, których gdzie trzeba, nie wiem.

Rzeczona sala pejsa. Uplywa 20 minut: gra muzyka. Goście zajmują przeznaczone dla nich miejsca, gospodarze witaają, społeczeństwo klaszcze w dłonie.

Otwieram uroczystości związane z otwarciem pięćsetnego Uniwersytetu Powszechnego TWP na Lubelszczyźnie — mówi ktoś z trybuny. Oklaski, chłopcy z telewizji oświetlają salę reflektorami, wszystkie dziewczyny w nich wpatrzony, a oni nie, tylko kręcą i kręcą... Po tem krótkie i rzeczowe przemówienia, a następnie wykład na temat walk partyzanckich w rejonie Jozefowa Bilgorajskiego. Barwna panorama zmagów i poświęceń. Ludzie zasłuchani, ci na parapetach okiennych podtrzymują się wzajem.

Tymczasem na zapleczu, w klubie, szaleją dziennikarze. Cywili i strażak przechodzą z rąk do rąk — informują chętnie i z zapalem, choć wiedzą, że praktyk takich zwyciężają. Ludzi? Do 2 tysięcy, a najlepszy kierownik szkoły, Czesław Lal, popularniejszy od przewodniczącego gromadzkiej rady, do wszystkich do dobrego wieś namówił, a na początku go nie chcieli. A w czynie społecznym chodnik przy ulicy położyli i szkołę nową chcą budować. Tak... Co by tu jeszcze? Gospodarstwa średnie, nie najgorsze, tytoż też procentuje... Młodzież ucieka, oczuwiście. Nie jeden pracuje i dorabia w pobliskiej fabryce mebli i zakładach materiałów budowlanych. W czasie okupacji, jak wiadomo, walczyli i pomagali partyzantom. Co by tu jeszcze?

— A kulturę rozwijacie? — strzela ktoś do strażaka.

— A tak, tak, szkołę chcemy nową, chodnika za 150 tysięcy w czynie położyliśmy...

— Tu i historia ciekawa — wtrąca cywil. — W pobliżu, 24 kwietnia 1863 r. poległ poeta-powstaniec, Mieczysław Romanowski, adiutant Marcina Borelowskiego „Lelewela”... — dalsze słowa zagłusza tuz orkiestry.

— Tylko, wie pan — cywil zwraca się do mnie. — Zachodzi podejrzenie, że rannego poetę dobił knieć miejscowy.

Na drugi dzień w lubelskiej gazecie przeczytałem, że Majdan Nepryski chlubi się tym związkiem z historią i literaturą. Czym tu się chlubi? Ale przemilczec też nie byłoby sensowne. Dużo bowiem w tym tragicznym fakcie ogólniejszej, właśnie klasowej prawdy owego czasu. Przypomnijmy sobie zresztą Zeromskiego „Rozdziołą nas krukli, wrony”.

Gra muzyka, chór Ziemi Bilgorajskiej pięknie śpiewa różne pieśni różnych formacji polskiego podziemia. Śpiewa pół godziny, prawie godzinę. Potem śpiewacy przychodzą do klubu i jedzą obfite kanapki z wędliną i ogórkiem. Ja też. Oni dzielą się fachowymi uwagami na temat „wejścia Antosia”. Nie znam się. Przeglądam materiały.

Okazuje się, że na 3600 uniwersytetów powszechnych TWP dzia-

## Szkic do pejzażu

# 7

## uniwersytetu

Tadeusz Graba

lających w kraju — ich cel: przekazywanie wiedzy dostawnie o wszystkim, od uprawy buraków do lotów kosmicznych i polityki — aż 500 znajduje się na Lubelszczyźnie. Te proporcje cieszę, świadczą o dobrej i potrzebnej robocie, podobnie jak raduje największą bodaj w kraju liczbą istniejących tu klubów „Ruchu” i „Rolnika”. Biję więc brawo prasa lubelska, wołamy „bis”, z okazji otwarcia kolejnej placówki dmiemy w fanfary. No tak, ale...

Ale niech stać nas też będzie na przyznanie się, że ten rozwój specyficznych form kulturalnych i oświatowych dyktują potrzeby województwa, mówią inaczej — wielkie, co tu owiwać w bawelnę, o późnieniu Lubelszczyzny w stosunku do innych, rozwiniętych regionów kraju. Te formy zastępują brak instytucji rozwiniętych, starych, mają charakter inicjujący i w końcu przejściowy. Społeczność w miarę zamożna i rozbudzona kulturalnie zafunduje sobie zamiast klubu „Ruchu” wielofunkcyjny dom kultury, a wykształcona — obojętne się bez uniwersytetu —owszeczne-go. Żanimo to jednak nastąpi, popierajmy kluby i TWP, ale nie raportując sprawę. Chwalmy szerokość i szybkość odpowiedzi TWP na społeczne zapotrzebowania, ale róbmy zarazem wszystko, aby realnie przyczynić owego zapotrzebowania, związane ze strukturą socjalną, ekonomiczną i kulturową województwa, zniknięciu jak najszybciej.

Gra muzyka. W korytarzyku przed salą tłok. W rogu znajom strażak konfidencko mówi coś do milicjanta.

— Tu — podnosi głos wskazując na klub — planowaliśmy bufet, ale „Ruch” się władował. To taki czyrak na zdrowym ciebie — dodaje, zadowolony z porównania.

Pięćset uniwersytetów powszechnych na Lubelszczyźnie to wcale nie za dużo.

# Dziewczęta bez przyszołości?

Dokończenie ze str. 1

Pytam, czy przyjęłaby inną pracę. Jakis błysk w jej oczach.

— Tak, tak! Może u pana? Nie? Gdyby pan miał coś ciekawego, to proszę mnie zawiadomić. Tylko — ścisza głos do szeptu — niech pan nie mówi mojej pani, że rozmawialiśmy o tym!

— Ale dlaczego przyjęłaby inną pracę, skoro dotychczasowa nie jest zła, a może nawet bardzo dobra?

Dziewczyna wyjaśnia: — Naprawdę, to nie mam tu ani dnia, ani godziny wolnej. Pani pochodzi z mojej wsi. Dawniej, jak bylam dzieckiem, a ona chodziła do gimnazjum i przyjeżdżała na wakacje do domu, to mówiłam jej przez ty. Ona była bardzo miła, wszyscy ją lubili. A teraz to zrobił się całkiem inny człowiek. Wielka dama, ho, ho, zapomniała już, jak się doi krowy. Któregoś dnia dziecko spytało mnie, skąd się biorą ziemniaki. To mu opowiedziałam i mówiłam jeszcze, jak dawniej jego mama kopała kartofle, a ja pomagałam zbierać. Pani mnie wtedy strasznie wykręzczyła f zabrała, żebym cokolwiek opowiedziała matemu o wsi, albo o niej.

„Potwór”, uważany dotąd przez mnie za małomównego, okazuje się nagle bardzo swobodny:

— Zgodziłam się tu do służby, bo mam 7 klas, jestem niepełnoletnia i żadnej innej możliwości pracy poza wsią nie mam, a w domu nie jestem potrzebna, tata gospodarzy za ledwie na 3 hektarach. Zresztą jak-

bym nawet dostała jakąś inną pracę, to zarobki nie wystarczyłyby mi na życie i nie miałabym gdzie mieszkać. To muszę się męczyć tu. Nawet nie tak dużo pracy, w domu w żniwa narobiłam się więcej. Tylko, że tu jestem niewolnicą. Żebym zrobiła nie wiem co, to i tak nie mogę się spokojnie. „Przynies herbaty, zetrzyj tę plamkę, zobacz, czy w skrzynce nie ma poczty, upierz mi skarpety, poszukaj mi tego, zrób tamto...” Żeby oni wiedzieli, jak mi to wszystko zbrzydło! A jaka mam pretensję, gdy chcę iść do kina, albo kawiarni. Raz pani pożyczyla sobie „Disneyland” Dygata. Zna pan? Dobrze, prawda? Ja lubię książki, poprosiłam, żeby zostawiła ją jeszcze przez parę dni, dla mnie. Zaczęła się śmiać, aż lzy jej staneły w oczach. „Po co ci — mówi — to nie dla ciebie książka, za głupia jesteś na to”. Mnie też lzy staneły w oczach, tylko z innego powodu. Co ona sobie myśli, że ja nie jestem człowiekiem? Z tej samej wsi pochodzimy, jej ojciec miał nawet gorsze gospodarstwo, tylko, że dwoje dzieci, a mój szescioro i nie mógł wszystkich kształcić. Może ona myśli, że ja przez całe życie będę służącą? O nie, nie będzie. Niech tylko mi się nadarzy coś innego, żebym wyżyła, zaraz przyjmę. No i teraz jest demokracja, nie? W przyszłości na pewno nie będzie w ogóle służących, bo nikt nie będzie chciał służyć. Czytałam o tym w gazecie.

czasem kuchnią, dziewczuchą, grankotłukiem lub jeszcze inaczej. Terminologia nie ma zresztą istotnego znaczenia. Pani zazwyczaj nie jest wcale taką panią. Zarabia 3 tys. zł miesięcznie, 2 tys., nieraz zaledwie półtora. Nie zawsze wystarcza to na pokrycie kosztów posiadania pomocy domowej, która otrzymuje 500—1000 zł miesięcznie pensji, wyższe, mieszkanie u chlebotawców, a także okazjne prezenty, np. używaną odzież czy bieliznę.

Finansowo więc w nieludnym przypadku pani lepiej opłaciłoby się zrezygnować z pracy zawodowej i samej zająć się prowadzeniem domu. Jeśli tego nie robi, to przeważnie ze względu na ambicję zawodową, lub też dlatego, że nie chce odrywać się od swego warsztatu czy stanowiska, a liczy, że po podrośnięciu dziecka czy dzieci da sobie radę bez gosposi. Interes społeczny nakazuje też raczej, by pani, jeśli posiada jakiegoś kwalifikacje zawodowe, nie porzucała pracy. Ręk do pracy nam brakuje, zwłaszcza ręk z kwalifikacjami, lub doświadczeniem.

Gosposi też lepiej opłaca się prowadzenie cudzego domu, niż zaangażowanie się do jakiegoś przedsiębiorstwa. Jest w tym również interes społeczny. Gosposie nie posiadają zazwyczaj żadnych kwalifikacji poza tymi, jakie ma niemal każda kobieta: umiejętność gotowania, prania, sprzątania. Kobiety bez kwalifikacji poszukujących pracy jest u nas sporo, wolnych stanowisk dla nich niewiele, zarobki niskie...

jest wyjątkiem. Rozmawiałem z wieloma paniami domu, zatrudniającymi gosposie. Ich opinie były bardzo do siebie podobne:

— Co za brudas! Na oko czyściutka, świeżutka, lecz to jest czystość dla elegancji, a nie dla higieny. Pierze coś w proszku „Ixi”, a potem, nie myjąc rąk, łapie się za garnek z jedzeniem. Nie mogę jej tego oduczyc.

— Mówiłam jej sto razy, że nie wolno dziecku dawać odgrzewanych potraw. Ale ona przyzwyczaiła się na wsi, że gotuje się cały sagan i to wystarcza na dwa dni, a teraz chciałaby to stosować u mnie.

— Córką do pięciu lat nigdy niczego się nie bala, aż przyszła ta. Jak dziecko nie chce jeść, albo nie chce spać, to ją straszy. Diabłem, milicjantem, żołnierzem, listonoszem, czarownicą, co wyskoczy z telewizora. Teraz dziecko boi się wejść samo do łazienki.

— Mąż wyjechał za granicę, ja miałam całonocny dyżur w szpitalu. O 8 wieczorem zadzwoniłam do domu, telefon nie odpowiadał. O 9 to samo. Zadzwoniłam do koleżanki, żeby przyjechała zastąpić mnie na godzinę, sama w taksówkę i do domu. Dziewczyny nie ma, a dziecko stoi w łóżku, szlochła i woła ja: „Krysia”. Około 11 przyszła. Była w moim kostiumie i palcie i prowadziła ze sobą jakiegoś pijanego mężczyźnego. Odprowadziłam ją z miejsca.

— Z zakupów wylizca się co do grosza. Ale kupuje 80 dkg sera zamiatając kilograma, a resztę pierędzy zostawia sobie. Nie mam możności skontrolowania jej.

— Zazwyczaj to zaraz po kolacji mówi, że jest zmęczona i idzie spać. A kiedy bylam w sanatorium, kładła dzieci do łóżka, sama ubierała się w szlafroczek i siadała przed telewizorem, aż do końca programu. Na szczęście mąż nie jest taki, żeby na nią polecił, sam mi to opowiedział. Lecz nie byłam zadowolona i zwolniłam ją, po co kusie licha...

— Latem wyjeżdżaliśmy nad morze, chciałam ją wziąć ze sobą, powiedziała, że woli do domu na żniwa, daram jej na drogę stare płaszcz i dodatkowo 200 zł. Poka-

zała się dopiero przed Bożym Narodzeniem, po odbiór swoich rzeczy. Nie wyjaśniła słowem powodu odejścia.

W Saskim Ogrodzie jest alejka, po której przed południem spacerują młodziutki dziewczęta z wózkami, lub z dziećmi prowadzonymi za rękę. Wózki nie są ich, dzieci też nie. Dziewczęta są pomocnicami domowymi i zwyczaj, status społeczny, a może chęć wymiany do świadczeń każe im spotykać się w tym miejscu. Przychodzą tu też te, które szukają pracy. W alejce można uzyskać ciekawą informację.

— Chcesz iść do doktora M.? Nie bądź głupia, to sknera, będzie ci wylizcał każdą kroplek chleba.

— Zgodziłam się do tych starych z Krakowskiego Przedmieścia? To co, że nie mają dzieci? Ona zatruduje ci życie, każda młoda dziewczyna uważa za ka, a on będzie się do ciebie dobierał jak jej nie będzie choć przez 5 minut w domu. Mnie obiecywał złote góry, że się rozwiedzie i ożeni i tak dalej. Raz to się z trudem obroniłam.

— Do inżyniera W.? To dobre miejsce, tylko z góry powiedz, że soboty wieczorem i niedziele musisz mieć wolne, bo oni zawsze przyjmują gości i zatrzasz się na śmierć.

— Byle nie do nich. Telewizora ci nie pozwolą włączyć, bo się lampka wypala, na adapterze grać, bo się płyty potłuka. „Przekroju” przeczytaj, bo podrzesz, boś za głupia, boś służącą...

Dziewczęta są nieźle ubrane, niektóre nawet dość elegancko, z wyglądu można by przypuścić, że spotykają się córki zamożnych rodzin. Narzekają na to i owo, lecz, ogólnie biorąc, nie powodują im się zle. Nie są jednak zadowolone z życia. Przypadły im role służących. Należą do jedynej grupy zawodowej ludzi, którzy mają swoje panie i swoich panów. Niby nie, ale w roku 1969 w Polsce nie jest to rzecz bez znaczenia.

Mieszkancki miasta nie chcą przyjmować posad gospyń domowych. W początkach lutego w Lublinie

# Dziurawy dach nad głową

Dokończenie ze str. 1

1968 r. w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosło o następne 19 tys. m kw.

Te nad wyraz wymowne liczby nie dają jeszcze pełnego obrazu sytuacji. Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów z sierpnia 1965 r. (Dz. U. nr 35) wpływy z podwyższonych czynszów powinny być kierowane głównie na eksploatację, konserwację i remonty bieżące budynków, a zatem w założeniach miały służyć dobrze pojętemu interesowi samych lokatorów: mówiąc obrazowo, zwiększone opłaty za najem lokali powinny wrócić z powrotem do ich użytkowników w postaci zwiększonego wachlarza wysokiej jakości usług świadczonych przez administrację. Natomiast koszty remontów kapitalnych miały być w dalszym ciągu pokrywane ze środków budżetowych WRN. Tymczasem już w 1967 r. z limitowanych na remonty kapitalne 14 mln zł MZBM otrzymał tylko 6 150 tys. zł. Różnicę — 7 850 tys. zł — MZBM zmuszony był pokryć z wpływów z czynszu. Ale tym samym zabrakło owych 7 850 tys. zł na eksploatację; powstała dotkliwa luka w budżecie. Trzeba ją było wypełnić — MZBM zażądał od NBP pożyczkę 8,5 mln zł z terminem spłaty w 1968 r.

Na szczęście w 1968 r. na potrzeby w wysokości 16,2 mln zł MZBM otrzymał 15 mln. Jest to zwrot z sadniczy, którego pozytywne skutki nie dadzą na siebie długo czekać. Ale nie jest to jeszcze rozwiązanie całkowite. Owe 15 mln zł bez mała wystarczyło na pokrycie kosztów ubiegłorocznego remontu kapitalnego; ponadto trzeba jednak spłacić pożyczkę. Z czego?

Łączna wartość administracyjnych przez MZBM w Lublinie budynków wyraża się wartością 1 720 mln zł. Roczne zużycie tego majątku wynosi 32 mln zł. Zatem, aby nie dopuścić do dekapitalizacji, należy wydatki co roku taką samą sumę na ochronę stanu technicznego budynków. Tymczasem wydatki na tę ochronę kształtowały się o wiele poniżej: w ciągu roku 1965 — 21 045 tys. zł, 1966 — 28 504 tys. zł, 1967 — 23 464 tys. zł, 1968 — 22 483 tys. zł.

Oznacza to, że miejskie zasoby mieszkaniowe podległe MZBM starzeją się ponadnormatywnie. Co więcej: przy wzroście zasobów mieszkaniowych w omawianym okresie o 104 tys. m kw. — od trzech lat trwa stały regres.

Kłopoty finansowe zmusiły MZBM do drastycznych wręcz posunięć. Jeszcze w 1967 r. we wszystkich (10) ADM zatrudnionych było 75 konserwatorów (z grubsza licząc — 1 konserwator na 1100 mieszkań-ców). Od stycznia 1968 r. konserwa-

torów jest tylko 35. Nic dziwnego, że są oni w stanie jedynie usuwać awarie, a i to wyłącznie te najbardziej pilne. O racjonalnej konserwacji nie może być mowy. Wystarczy chyba stwierdzić, że do obsługi budynków zamieszkałych przez 80 tys. osób, ADM posiadają tylko 1 (słownie: jedręgo) blacharz! A na każdego konserwatora przypada przeciętnie 2 300 mieszkańców.

Jak jest mała dziura w dachu — mówi jeden z konserwatorów — to nie ma sobie co głowy zwracać. Idzie się dopiero tam, gdzie już porządnie zalało graty, a ludzie wiadra i miednice podstawią. Bo mała dziura to konserwacja. Co innego duża. To już awaria.

To, co powiedział konserwator — uzupełnia zastępca dyrektora MZBM — trzeba by jeszcze poszerzyć o bardziej ogólny punkt widzenia. Często ta mała dziura, że przy niej zostaniemy, musi czekać aż „dojrzeje” do takich rozmiarów, iż będzie ją można zakwalifikować do rubryki „remont”, najlepiej „remont kapitalny”. Bo na remont mamy fundusze, na konserwację brak.

A więc typowe stawianie problemu na głowie: przecież załatanie dziury to dosłownie złotówki, podczas gdy remont całego dachu to już ciężkie tysiące! I zła krew oraz straty ludzi, którym woda niszczyła meble i mieszkania. Dyrekcja MZBM doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Podczas rozmowy wskazuje się na sporo innych jeszcze paradoksów. Więcej — padają gotowe, całkiem sensowne propozycje ich zlikwidowania. Za realizacją każdego pomysłu kryją się jednak środki: brak pieniędzy, brak ludzi, brak materiałów, brak zrozumienia wreszcie. Wyzekiwanie, że mała dziura „dojrzeje” do rozmiarów remontu kapitalnego, wydaje się w tej sytuacji rzeczą groteskowo-absurdalną.

Jeszcze nie rezygnuję i mówię do dyrektora:

— Macie przecież własny zakład remontowy.

— Owszem. Ale zakład w tych warunkach połową swej mocy przerobowej musi wykonywać właśnie remonty kapitalne. Po prostu te są pilniejsze. W rezultacie jest tak: z jednej strony prawie połowa ludności miasta, 80 tys. kontrahentów, a z drugiej — mały stosunekowakład i to zaledwie w połowie defacto usługowy. Zgłoszeń na usługi dla mieszkańców mamy tak dużo, że możemy realizować tylko ich nieznaczna część. Sytuację pogarsza jeszcze fakt, że nasze zamówienia materiałowe hurtownie pokrywają zaledwie w 5—10 procentach. Głównie idzie tu o materiały reglamentowane, na które jest duże zapotrzebowanie z uwagi na powszechną tendencję do podwyższania standar-

du mieszkań. Wystarczy np. powiedzieć, że w 1968 r. zgłosiło się ponad 350 lokatorów z prośbą o zamontowanie wianien, a wstawiłymi tylko 3 (słownie: trzy), bo tyle tylko otrzymaliśmy. A przecież miało być zupełnie inaczej z zaopatrzeniem po wejściu w życie uchwały KERM z 1965 r. W praktyce wciąż jest jak przed 1965 rokiem.

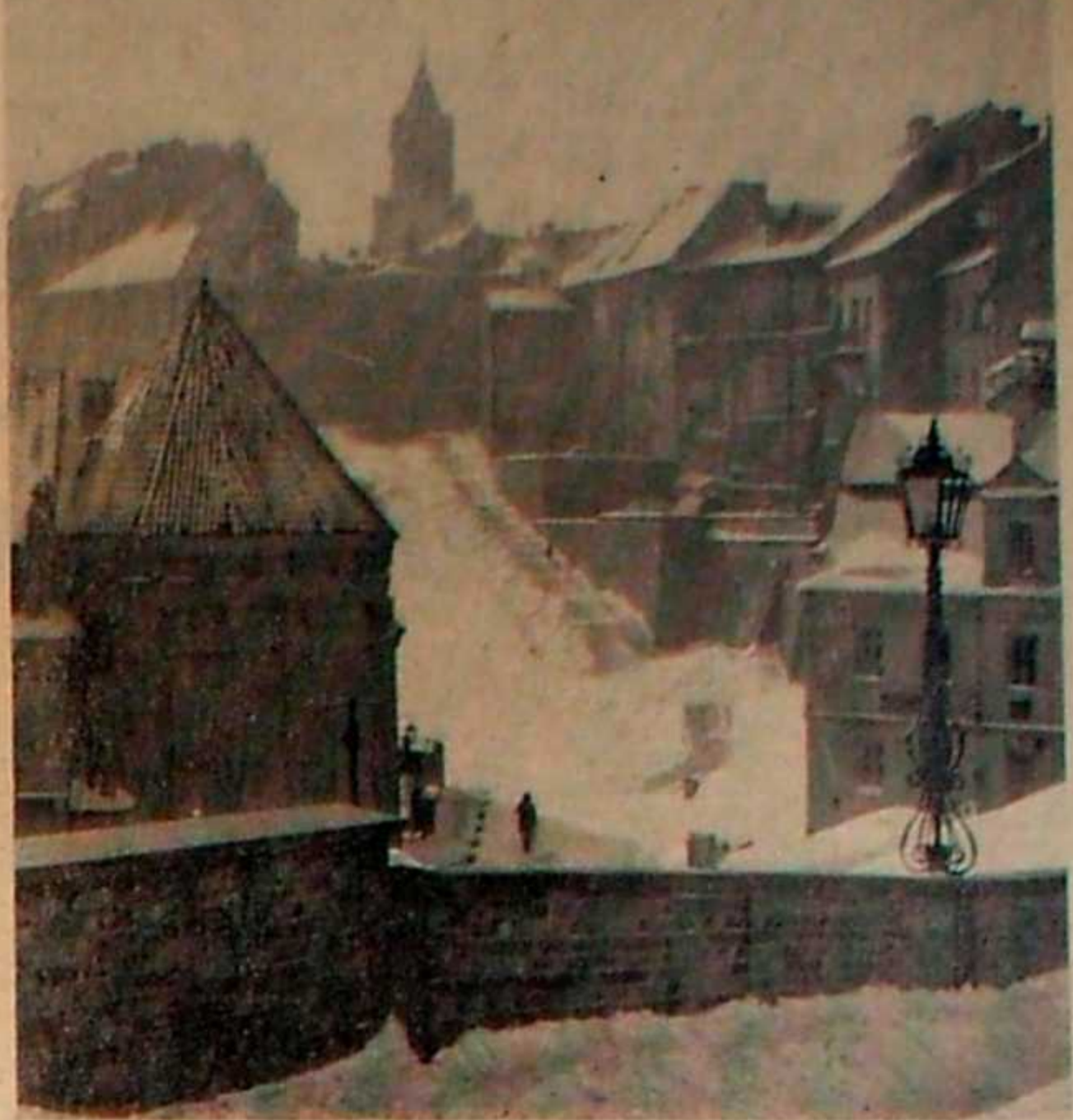
Administracje skarżą się na sporo jeszcze innych mankamentów. Bolaćka jest oddawanie „golych bloków”, bez tzw. małej architektury, której uzupełnienie — wbrew przepisom — w praktyce ciągnie się latami (jako swoisty pikantny pasus warto podać, że sprawa uzupełnienia elewacji w osiedlu broniwickim była już kilkakrotnie przedmiotem zainteresowania władz miejskich).

Wydział Spraw Lokalowych ma decyzję sądu (z 1965 r.) o wykwaterowaniu Krystyny K. z ul. Towarowej. Krystyna K. zajmuje nowe mieszkanie, za które nie tylko nie płaci grosza (zadłużenie z tego tytułu przekracza 7000 zł), ale w dodatku zdewastowała je w sposób przechodzący wszelkie wyobrażenia.

Jan M. po pijanemu zniszczył świeżo założoną w miejscu publicznym posadzkę a na dodatek wulgarnie zwymyślał i przewrócił ingerującą dozorczyńnię. Kolegium na złożony przez ADM wniosek karny Nr 469/67 odpisało 20.XII.67 r., że sprawa go nie dotyczy, podczas, gdy wiadomo, że przecież ono właśnie powinno działać w takich przypadkach skutecznie i bezzwłocznie.

Jest taki „mądry” przepis, który ogranicza możliwość zużycia materiałów przez jednego konserwatora w ciągu miesiąca na łączną wartość w granicach 250 zł. Oczywiście bzdura — wszyscy konserwatorzy „przerabiają” materiały na grube tysiące. Więc po co taki przepis, żeby uczyć lekceważenia dla prawa? Albo sprzęt. Murarz zatrudniony w ADM często wiezie po kilka kilometrów cegły w teczce z magazynu do miejsca pracy.

Taki fakt — mówi jedna z kierowniczek ADM. — Robią remont kamienicy. Kapitalny. Należało zacząć, jak radziłam, od dachu. Nie, zaczęli od robót budowlanych. Po tem zaciełki. Po budowlanych zaczęli pracownicy wodno-kanalizacyjni. Pokuli, podziurawili ściany. Zalepili, zachlapali. Przyszli wtedy elektrycy. Znow kuli. Znow zachlapali. Na końcu zrobili. A trzeba było w kolejności akurat odwrotnie. Szybciej by było. I dużo taniej. Dlaczego robili tak „bez głowy”? A bo mieli luzu w takiej kolejności. Luzu może i mieli, ale organizacji to żadnej, nawet elementarnej.



Fot. Janusz Urban

W trakcie gromadzenia materiałów przysłuchiwałem się wielu zebraniom mieszkańców poszczególnych bloków i osiedli. Kolejne zebranie w świetlicy bloku nr 21 w osiedlu Kalinowszczyzna (wybieram je, gdyż zawiera sporo cech charakterystycznych). Oto w skrócie, niektóre tylko z zanotowanych wypowiedzi:

— Niby to mamy gorącą wodę, płacimy za nią. Ale w niedziele ciepłej wody nigdy nie ma. Wielu może się wykąpać właśnie tylko w niedziele. Więc się pytam, za co płać te 33 zł za gorącą wodę?

— W bloku jest nas 85 rodzin. I na tyle ludzi pralnia jak dla śmiechu — 15 metrów kwadratowych. Dla czwartej części za mało. Mieszkańcy w kolejce do prania trzeba czekać.

— Wybudowali bloki, dobrze, wdzięczni rzecz jasna jesteśmy. Ale nie ma drogi dojazdowej. Pieniądzy zabrakło, czy jak? A w dodatku i gazu nie mamy. Wszędzie mają, w całym osiedlu, tylko w jednym naszym bloku nie ma. Węgiel (bo drogi architekt nie przewidział) trzeba 150 metrów na plecach nosić. Trzeba coś zrobić: albo gaz, albo chociaż droga.

— Na papierze mamy kawiarnię, niby „Kaprys”. A to zwyczajny, z przeprośzeniem, burdel po prostu. Wódę tam chleją chociaż wyszynku nie ma, chuligaństwo i draństwo straszne, dziewczynki takie, co za

forse, siedzą godzinami. Różne meły. Wymiotują na klatkach, zalutują się na drzwiach i pod schodami, biuźnia i biją się prawie co dzień. Właśnie już z dziećmi było. Nasze dzieci na to patrzy, dobra nauka, nie? Pisaliśmy pół roku temu, żadnej odpowiedzi nam nie dali.

— Czyniemy myśli zrobili, 300 kubików gazu takimi wywieźli i tyle samo żeśmy przywieźli czarnoziemu. Trawę zasialiśmy, kwiaty posadziłem. A potem samochody po chodniku, bo nie ma innej drogi, i po naszym trawniku piwo do „Kaprysu” dwoją. Zwracaliśmy uwagę, a jakże!

— Sklep jeden na całe osiedle, to stanowczo za mało. Rano za mlekiem stoi się w kolejce pół godziny. Blokowi coraz więcej, a sklep od 2 lat jeden stoi. To może by tak ten „Kaprys” na sklep zamienić? Chuligańska melinę się zlikwiduje i ludzie pożytek będą mieli.

— Ja w sprawie poczty. Niby jest a jej nie ma, bo urzęduje tylko od samej do trzeciej.

— Ze śmieciami utrapienie mamy. Cały tydzień nie zabierają, a pojemników to czasami za górami brudów nawet nie wiada.

— Jak już o porządkach, to ja też dwa słowa. Zadałem sobie raz trud, żeby policzyć, kto wyciera obuwie wchodząc na klatkę. Na 100 obywateli wytarło 3. I to same niewiasty. Z drugiej klatki.

Lista skarg przedłuża się wraz z upływem kwadransów, godzin. Kierowniczka ADM Nr 7, p. Anna Matuniak, analogicznie zresztą jak pozostałe jej koleżanki i koleżdy w podobnych okolicznościach — skrzętnie notuje punkt po punkcie. Nie pierwszy zresztą już raz, jak nie pierwsze to zebranie w bloku. Potem jeszcze raz odpowiadaj, jeszcze raz wyjaśnia, zapewnia, że zrobi wszystko, co będzie można. A po zebraniu trwającym „bite” cztery godziny, już na dworze słyszę jak jeden z mieszkańców mówi do sąsiada: „I tym razem na gadaniu się wszystko skończy. Bo ona”, kierowniczka znaczy się, może by i chciała. Też ma rodzinę, dom własny, a po zebraniach do dziewiątej wieczór się z ludźmi tłucze. Tylko co ona może?”

Celowo nie formułuję wniosków. Z dwu powodów: po pierwsze wyjadają się aż nazbyt oczywiste, po drugie — mam cichą nadzieję, że sprawa gospodarki zasobami mieszkaniowymi nie zostanie zamknięta w jednym artykule publicystycznym, lecz stanie się przedmiotem szerszej dyskusji, prowadzonej w kompetentnym gronie zainteresowanych problematyką. Chodzi przecież o rzecz dużej wagi społecznej — o 40 procent mieszkańców dużego miasta i o to, by przyślawowe dachy nad ich głowami miały jak najmniej owych symbolicznych dziur”.

Stanisław Harasimiuk

\* Przedstawiona w artykule sytuacja dotychczas roku 1968 nie odzwierciedla wszystkich problemów, ani tym bardziej osiągnięć z zakresu budownictwa mieszkaniowego. W ograniczonych ramach jednej publikacji nie było to możliwe. Stąd zdeteterminowana konieczność koncentrowania uwagi wyłącznie na mankamentach. Mam nadzieję, że brak pozytywnych aspektów, która określała globalna wielkość budownictwa mieszkaniowego do imponującej liczby 4 mln izb. Fakt ten jednakże nie potwierdza otrzymanych wsłitek i troskę państwa o dalszą poprawę warunków mieszkaniowych ludności. Chodzi więc o jednoczesność wysiłków — oczywistych ze strony państwa i nadszających za nimi ze strony organów terenowych, które „zawładują” już posiadanyymi zasobami mieszkaniowymi.

S. II.

zatrudnienie oczekiwało 500 pracowników fizycznych i 200 umysłowych. Żadna z nich nie wyrażała chęci zostania gosposią, mimo iż Wydział Zatrudnienia Prez. MRN miał dla tych 700 kobiet zaledwie około 60 wolnych stanowisk. Brak kandydatek na gosposie sprawia, że osoby poszukujące ich rzadko zachodzą do Biura Pośrednictwa Pracy. Rocznie biuro to otrzymuje zamówienia na 15—20 pomocniczek domowych. Zgłaszają się 3—4 kandydatki. A reszta?

Nikt nie jest w stanie powiedzieć, ile osób w województwie lubelskim jest zatrudnionych jako gosposie domowe. Angażowanie ich odbywa się na drodze prywatnych znajomości, poszukiwań w rodzinnych wioskach, czasem za pośrednictwem ogłoszeń prasowych. Przyjeżdżają do miasta, zostają zameldowane czasowo u swoich chlebodawców i na tym sprawa się urywa. Każda z tych młodych dziewcząt traktuje swą pracę jako odciośnie do dalszej kariery: poszukania sobie sublokatorskiego pokoiku (sama, lub wspólnie z drugą) i zatrudnienia w uspołecznionym zakładzie pracy, albo — co jeszcze lepiej — znalezienia sobie męża. Niektóre ten ostatni cel zamierzają zrealizować w rodzinnej miejscowości, po uprzednim uciułaniu trochę pieniędzy w mieście, ubraniu się, a może i pewnym otrząskaniu.

Etapem, który oby trwał jak najkrócej, nie warto sobie zwracać głowy. Jeśli się weźmie pod uwagę to, a także niski poziom świadomości społecznej i wykształcenia owych dziewcząt, nie będzie dziwnym, że tak nieliczne tylko korzystają w pełni z należytych im uprawnień społecznych.

W całym województwie lubelskim tylko 54 gosposie należą do związku zawodowego, choć przynależność do związku, obok pewnego oparcia moralnego i organizacyjnego, daje im np. możliwość otrzymania skierowania na wczasy, do sanatorium, bezpłatnego biletu powrotnego z urlopu, pomocy w zaspołkojeniu zwłazk roszczeń itd. Członkiniami związku są głównie osoby starsze, renciarki lub w wieku emerytalnym.

Tu trzeba wyjaśnić, że pomocniczek domowych w zaawansowanym wieku jest sporo, lecz większość z nich to krewnie swoich pracodawców, a zatem znajdują się bardziej w sytuacji rezydentek, niż służących. Oczywiście traktowane są też różnie. Jednej prowadzi się znakomicie, innej zupełnie źle, na ogół jednak są to kobiety, które nie planują zmiany swej sytuacji życiowej. Wiele z nich ma oparcie w rencie, własnym mieszkaniu, dorosłym potomstwem, toteż pracę u krewnych czy dzieci traktują nie jako służbę i zapewnienie sobie egzystencji, a formę ucieczki przed samotnością.

Inaczej wygląda sprawa tych młodych, wchodzących w życie. Istnieje nadzór społeczny nad warunkami pracy każdego niemal człowieka, zatrudnionego w przedsiębiorstwie uspołecznionym czy w zakładzie prywatnym. Nikt natomiast nie może powiedzieć precyzyjnie, jak wygląda sytuacja tej grupy zawodowej. Wiadomo tylko ogólnie, że warunki pracy i płacy mają nielze, z pewnością lepsze niż kiedykolwiek dotychczas miała ta grupa zawodowa. I prawdopodobnie w przyszłości będą miały jeszcze lepsze, gdyż popyt na ich usługi wzrasta, a podaż maleje, bo coraz więcej młodych kobiet kończy szkoły średnie, a po nich nie podejmuje takiej pracy.

Przed wojną każdy przeciętny urzędnik mógł sobie pozwolić na utrzymanie służącej, dziś stać na to tylko ludzi zamożnych, a przeciętnie uposażeni, angażując gosposie, robią to kosztem innych wyrzeń finansowych. Tak jest nie tylko u nas, lecz we wszystkich rozwiniętych krajach. Stąd stosnie grymaszą, wybierają i przebijają, przed podjęciem pracy dopytują się, czy pracodawcy mają telewizor, gaz, łazienkę itd. Stąd właśnie, zrażone czymś, opuszczają swego pracodawcę, bo wiedzą, że łatwo znaleźć następne. I stąd może te narzekania pań domu, narzekania będące tematem każdego spotkania z przyjaciółką i niemal oznaką dobrego tonu. To nie, że pani domu urodziła się w suterenie, czy w chacie z klepis-

klem zamiast podłogi. Awansowała społecznie, czasem po prostu dobrze wyszła za mąż i to jej wystarcza do utyskiwania na garnkołtuka. To nie, że pani domu lub jej mąż są czasem działaczami społecznymi, efektywnie walczącymi w przedsiębiorstwie o interesy załogi. Na własnym podwórku, wobec swego pracownika, trudniej o poczucie sprawiedliwości i trudniej o uświadomienie sobie, że i pani i gosposia są równymi obywatelami.

To prawda, że młode dziewczęta, świeżo przybyłe ze wsi do miasta, nie znają dobrze zasad higieny i dietyki, że nie są naleźycie wyrobione towarzysko, że nie potrafią wychowywać dzieci według wymogów współczesnej pedagogiki. W domu swoich pracodawców zapewne do wielu pożytecznych zajęć się przyuczają.

Alte te 15, 16, czy 17-latkę powinny uczęszczać do wieczorowych czy też korespondencyjnych szkół, np. gastronomicznych lub gospodarstwa domowego. Pracodawca powinien nie tylko wyrazić na to zgodę, ale i dopilnować tego. Niestety, uczą się tylko niektóre. Co tu mówić: jedynie nieliczne osoby przy zatrudnieniu pomocy domowych spisują z nimi umowę o pracę. Po cóż się zobowiązywać?

Kiedy jednak idzie o obowiązki, których zaniedbanie grozi konsekwencjami, pracodawcy są skrupulatniejsi. Pod koniec roku 1968 w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w Lublinie były zarejestrowane 1474 gosposie z całego województwa, za które pracodawcy płacili składki. Mimo braku danych statystycznych można przypuszczać, że co najmniej drugie tyle, a może i więcej osób, pracuje bez ubezpieczenia, bez prawa do bezpłatnej pomocy lekarskiej, zasiłku chorobowego i zdobywania uprawnień emerytalnych. Jakaś dziwna plotka straszy ludzi, że ubezpieczenia są bardzo drogie. Tymczasem tak nie jest. Najniższa stawka (np. gdy mąż i żona pracują w przedsiębiorstwie uspołecznionym, a przynajmniej

jedno dziecko nie ma ukończonych 14 lat, lub mąż pracuje, a żona jest studentka, lub jedna osoba z małżeństwa wymaga opieki pielęgniarzkiej, a druga jest rencistą) wynosi 25 zł miesięcznie, najwyższa (gdy jedno z małżonków prowadzi prywatne przedsiębiorstwo, warstat usługowy, lub gospodarstwo rolne czy ogrodnicze) — 180 zł miesięcznie. Nie za wiele, a jednak rokrocznie ZUS w trybie administracyjnym wymierza grzywny ludziom winnym niedopełnienia obowiązku ubezpieczenia pracownika.

16-lletnia dziewczyna podejmująca pracę gosposi w sumie zarabia więcej niż absolwentka technikum. Ale jakie ma przed sobą perspektywy? A jak pracuje! Po 10—12 lub więcej godzin na dobę, a jeśli nawet nie pracuje, to jest przez tyle godzin do dyspozycji pani domu, na co już nie zezwalała obowiązujące u nas przepisy o zatrudnieniu młodocianych.

Dziewczęta nie protestują. Na wsi pracowały nieraz znacznie ciężiej, wstawały znacznie wcześniej. Gdy więc w sprawie wda się inspektor pracy ze związku zawodowego, obie strony tłumaczą, że to nie służąca, tylko daleka kuzynka z prowincji, która ma chęć uczyć się w mieście i właśnie poszukuje sobie odpowiedzialnej szkoły. W istniejącym jednak stanie rzeczy walczyć z pracodawcą jest trudniej, a to dla dziewcząt — poza wyjątkami — nie uczą się, nie należa do żadnych młodzieżowych organizacji społecznych, a Liga Kobiet, jeśli interesuje się problemem, to raczej od strony dopomożenia swoim członkiniom w znalezieniu kogoś do pilnowania dziecka. A problem jest znacznie szerszy i istnieć będzie tak długo, dopóki nie zlikwiduje go gesta sieć żłobków, przedszkoli, pralni, wtwórni półfabrykatów spożywczych oraz rozlicznych placówek usługowych. Niżności się jednak, by nastąpiło to w najbliższym czasie.

Romuald Wiśniewski

Kamena str. 5

S POMIĘDZY malowniczych wzgórz, porzeczanych lasami jarami, jakieś trzydziście kilometrów na zachód od Zamościa, droga skłębca w osnowy zagajnik. Nie daleko już Zwierzyniec, perła Roztocza, dziewięć olśniewający akt natury, mekka turystów. Na skraju młodego sośniaka granitowy obelisk, kości ludzkie wyrwane w kamieniu, symbol męczeństwa. Ogromna bryła, wznosząca się ponad młody zagajnik, przesłania na moment piękno tej ziemi. „Miejsce hitlerowskiego obozu zagłady Polaków, Francuzów i innych w latach 1941-1944” — przypomina napis wyrwany na pomniku.

Nie dymily tu kominy krematoryjne, nie było komór gazowych. Konzentrationslager w Zwierzynce spełniał jedynie rolę obozu przejściowego dla wysiedlanej i pacyficznej ludności Zamojszczyzny. Ale dla wielu, jakie wielu ludzi, był on drogą ostatnią. Więziono tutaj ludność z Suchowoli, Radogoszczy, Skierbieszowa, Osuch, Szczebieszowa, Józefowa i wielu innych miejscowości. Tutaj marli z głodu więźniowie polityczni i prości ludzie od pluga, wygnani z własnych zagrod i wycuci z ziemi, skazani na śmierć jedynie za to, że nie byli wygodni dla niemieckiego Lebensraumu. Tu matkom wydzierano dzieci, owe słynne Dzieci Zamojskie, których część została na zawsze pod korzeniami rosnącego dziś zagajnika, część poszła do obozu zagłady w Chełmnie w woj. bydgoskim, a część wywieziono do Reichu w ramach akcji germanizacyjnej.

Siedzi przede mną przgarbiony, nieśmiertelny człowiek z obozu — z łysą, schorowaną twarzą. Obozowe przeżycia pozostawiły na nim trwałe ślady. Feliks Krukowski przeszedł tu za życia męki piekła. Aresztowali go razem z matką i ojcem w Szczebieszynie. Przesiedział w łazience 12 tygodni. Był więźniem politycznym. Naznacili mu czole literą V; oznaczalo to: verloren — zgubiony. Nie przyznawał się do niczego, chociaż w domu znaleziono „bibule”. SS-manni nie nie wskórali bičem. W końcu przebili mu bagnętem udo. Na tym bagnętem powiesili go do góry nogami. Tak wisiał przez dwa tygodnie. Zdejmowali, gdy mdlał. Rana gnła, ciało żarzy robaki.

Po dwóch tygodniach „badań”, w czasie których nie nie powiedział, oprawcy spróbowali ohydnych szantaży. Nie darmo bowiem załoga obozu składała się z wyjątkowych kanali. Na śledztwo, które odbywało się zwykle w gajówce po drugiej stronie drogi (gajówka do dziś tam stoi), przyprowadzili matkę Krukowskiego, sześćdziesięcioletnią staruszkę. — Gadał, bo ją zastrzelili! — wrzeszczał prowadzący śledztwo SS-mann. Krukowski wiedział, że litości nie będzie. — Nic nie wiem! — odpowiadał niezmiennie. Wówczas SS-mann strzelił do matki,

raniąc ją w obojczyk. Gdy zemdlała, oprawcy wyrzucili ją za próg. — Już nigdy więcej nie widziałem matki — snuje swą koszmarną opowieść Krukowski. — Ani ojca. Nawet nie wiem, gdzie ich grób. Może gdzieś pod tymi młodymi sosnami. Sam przeleżałem resztę dni pod barakiem. Jak pies. Umierałem na raty. Zropiałe ciało żarzy robaki. Mam po nich do dziś pamiętkę. I po tym bagnęcie, o tu! — pokazuje Krukowski olbrzymie ślady wizeru na ciele.

## Zamojska odysea

# PRZEMARSZ PRZEZ PIEKŁO

Jan Kolkowicz

Dwie sceny z obozu zapadły mi szczególnie mocno w pamięć. Widział, jak któregoś dnia nieszono chleb. Ktoś z wygłodniałych więźniów porwał jeden bochenek. Jaki dotąd, aż go SS-mann zastrzelił. Innym razem młody chłopak z Józefowa, nazwiskiem Grzyb, imię zatęło się w pamięci, modlił się trzymając w ręku książeczkę do nabożeństwa. — Ty bandyto, podrzyj to, po co ci modlitwa — darł się SS-mann. Chłopak uparł się i nie wykonał rozkazu. Za swą zuchwałą zapłacił katoga. Krukowski pamięta też olbrzymi transport dzieci, który przybył do obozu któregoś z listopadowych dni 1943 roku. Zmaltretowane, wynędzniałe dzieci zapędzono do baraków, gdzie marły, dziesiątkowane przez zimno, głód i choroby zakaźne.

— Odwiedziam męża w obozie — opowiadaż żona Krukowskiego. — Nie poznałam go. Leżał bez przytomności. Na nim leżało jakieś martwe dziecko.

Krukowska z trudem wydostała się z obozu. Hitlerowcy chcieli zamknąć ją w piwnicy. Uratowała ją obozowa sanitariuszka, Polka. W tym czasie właśnie rozpoczęła się deportacja dzieci z obozu. Niemcy wywozili je na chłopskich furmankach. SS-manni szli gestym szpalerem po obu stronach drogi, część z nich jechała na osobnych wozach z automarami gotowymi do strzału. Dzieci plakaly, słoczone po kilkanaścioro na jednym wozie.

— Koszmarny ten pochód do dziś stoi mi przed oczami — kończy swą opowieść Krukowska. — Widziałam, jak Niemcy strzelali do ludzi, którzy usiłowali podawać dzieciom chleb.

Jesienią 1943 roku przybył transport, liczący około tysiąca osób. Ludzi tych przypędzono do Zwierzynca na piechotę ze Szczebieszyna, gdzie więziono ich w miejscowej cerkwi. W transporcie tym znalazł

się Jan Hejno, aresztowany razem z rodzicami.

Dziewięcioletni wówczas chłopczyk przetrwał za drutami mackabryczną selekcję. Utkwiła mu w pamięci dramatyczna scena rodzinna. Antropologowie z SS, zwróciwszy uwagę na z niemiecką brzmiającą nazwisko, usiłowali Hejnów zakwalifikować na Volkliste. Obiecywali w zamian wolność. Ojciec, przywiązany niezmiernie do rodzinnego zagonu, wahał się, próbował zasłaniać się decyzją żony, więc

przyprowadzono matkę. Hejno pamięta, jak matka wyrabala antropologowi z SS prosto z mostu: — Do tej pory siedzę i diabli mnie nie wzięli, to może i nie wezmą. Polką byłam i Polką umrę!

Hejno siedział na tzw. polu, przeznaczonym dla matek z dziećmi. Któregoś dnia widział ponurą scenę. Jakiś mężczyzna wkradł się na to pole, chcąc zobaczyć się z rodziną. Pilnujący pola SS-mann strzelił do niego z pistoletu maszynowego. Chłopczyk ujrzał, jak uciekającemu człowiekowi seria ściela czerep.

— Długo śnił mi się po nocach ten człowiek — opowiada dziś Hejno. — Zrywałem się z łóżka, krzyczałem...

Oczami dziewięcioletniego dziecka patrzył Hejno przez kilka długich tygodni na zagładę swoich rówieśników. Sponiewierane dzieci leżały przed barakami zeszytowane z zimna, zamorzone głodem, dobijane kółkami karabinów. Często żyjące jeszcze dzieci SS-manni topili w latrynach. Celował w tych „zabawach” kapitan Trautwein, szef obozu.

Ulubiona „rozrwika” wachmanów było strzelanie do ludzi przebywających na placu. SS-manni rywalizowali ze sobą, kto jednym pociskiem zastrzeli więcej osób. O innej zbrodni opowiedział mi były więzień, Franciszek Głowacki. Przypędzono akurat transport ludzi z Bilgoraja, który słoczono w oddzielnym baraku. Dwóch księży zamknięto w osobnej celi, do której przyprowadzono młodą kobietę z tego transportu. Księżom polecono zamordować w ciągu nocy tę kobietę, grożąc wystrzeleniem zamkniętych w baraku parafian w wypadku niewykonania polecenia. — Całą noc dzieliśmy ze strachu przed ową groźbą — opowiada Głowacki. — Duchowni nie wykonali polecenia. Hitlerowcy wyładowali na nich całą swą wściekłość.

Obozowy terror, okrutne warunki życia, głód, epidemia i śmierć gro-

żącą na każdym kroku były przyczyną licznych ucieczek. Podejmowano je zarówno w zorganizowanych grupach jak i na własną rękę. Dość śmiała, udana ucieczkę zorganizowano na polu kobiecym. Któregoś dnia przywieziono do obozu kilkanaście młodych kobiet. Nocą zmyliły one czujność strażników i zarzuciwszy matę na druty, uciekły z lagru. Nazajutrz Niemcy zgłowiali więźniom koszmarnie widowisko. Zwalili koło drutów kilkanaście straszliwie zmasakrowanych

trupów kobiet schwytych w rękono w czasie ucieczki. Przed spędzonymi z całego obozu więźniami hauptman Trautwein groził: — Tak i z wami będzie!

Mimo represji ucieczki nie ustawały. Ryzykownej, zakończonych powodzeniem ucieczki dokonał jeden z więźniów w czasie burzy. Prześliznął się niepostrzeżenie obok wieży wartowniczej, dosłownie pod nogami strażników w momencie, kiedy Niemiec, opatulwszy głowę w nieprzemakalny płaszcz, chronił się na wieży przed ulewą. Wielu więźniów wydostało się poza druty furmanką, która wyjeżdżała do Zwierzynca po żywność.

Słynna była także ucieczka jeńców francuskich, którzy uciekli z obozu podkopem. Była to żmudna praca. Przeszło pół roku trwał wyścig z czasem i śmiercią. Zadanie ułatwiała Francuzom praca przy budowie drogi. Piasek z baraku, z którego wykonywali podkop, wynosili w kieszeniach. Niestety już następnego dnia po ucieczce pierwszej grupy Niemcy wykryli podkop. Zaledwie dwunastu jeńcom udało się wydostać na wolność. Sześciu z nich udało się na południe. Dotarli oni do Radecznicy, słynnej Rzeczypospolitej Radeczniczej, akad miejscowy łącznik zaprowadził ich do oddziału partyzanckiego, stacjonującego w okolicznych lasach. W oddziale tym Francuzi walczyli do końca wojny. Natomiast los drugiej szóstki był tragiczny. Jeńcy ci przedzielali się polnymi drogami w stronę Bilgoraja. Wypieroni przez zmortyzowany pościg SS, zostali pojmani i rozstrzelani na miejscu.

Hauptman Trautwein, niezmorendowany pacyfikator Zamojszczyzny, szef obozu w Zwierzynce, sadysta, znany więźniom ze swych okrutnych rządów, nie doczekał końca wojny. Uznany przez swe dowództwo za pacyfikatora talent, na wiosnę 1944 roku skierowany został na Kielecczynę do tłumienia w tym rejonie ruchu partyzanckiego. Tam dosięgła go sprawiedliwość.

Wojciech Kawiński

## Dziesięciolecia

Stoisz nad płytką rzeką

— z zaciętą pięścią

Kamienie jaszczurki piach

i czysty powiew

Złamana gałąź zmierzch

między liśćmi

Twarz twój zmienia nurt

czas tłum wody

Obraz waszelki wysycha

— rozsypuje się gniew

Świat jest daleko

Debata

Bolesław Wilk

## niepokojny las

ptaki wyprowadziły się z lasu  
tylko noc ukochała drzewa  
czuwają sosny bo już nad ranem  
przyjdą drwale aby piłami  
wyplakać śmierć

Chobryżony

Wojciech Kielczewski

dojrzewający kwiat jabłoni  
różowy śnieg wiosny

gałąb oblok wachlujący twarz słońca  
skrzydłami

ty rozgarniająca powietrze  
wyciągniętymi ramionami  
zachwytywów słowo deklamatora  
wypchnięte w blask przestrzeni  
ciąciwą

ja chwytający oddech z twoich ust  
niezdziwiesz z barci miód

Lublin

## Tropem ludzi majora Hubala

# ŚMIERĆ DOWÓDCY

Mirosław Derecki

Z AGRODA Laskowskich leży na samym skraju wsi Aniela. Od lasu Zacinki Anielińskiej oddziela ją tylko szeroki pas pola. W odległości dwustu metrów od obojczy, wśród pierwszych drzew, stoi niewielki kamienny pomnik, opatrzone tablicą z napisem: „Tu walczył i zginął 30 IV 1940 r. major Henryk Dobrzański — „Hubal”, d-ca oddziału WP, nieustraszonego żołnierza, pierwszego partyzanta. Społecznym Ziemni Opatczyńskiej”. Tuż obok niewielki kopczyk końskich kości. Tyle zostało z „Demona”, hubalowego wierzchowca.

Pamiętnego ranka rodzinę Laskowskich poderwały ze snu ogłosy walki dochodzące właśnie z tego zagajnika. Wkrótce zadudniły końskie kopyta, na podwórko wpadły cztery konie w kawalerskim oporządzeniu, zatrzymały się na chwilę przed drzwiami zamkniętej stajni, a potem zawróciły i pognęły w kierunku wsi. Mieszkańcy chaty znali je dobrze. Były to „Tatar”, „Brytan”, „Nikodem” i „Baśka”. Należały do żołnierzy oddziału majora Hubala, który kwaterował u Laskowskich w styczniu i który ostatnie, kwietniowej nocy, ścigany przez Niemców przedostał pod okna domu, kierując się w stronę zagajnika.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Później od lasu dały się słyszeć głosy niemieckie. Przez pole szło kilku żołnierzy dźwigając na rozpostartym kożuchu bezwładną postać. Co kilkadziesiąt kroków przystawali, rzucali nieszonę człowieka na ziemię i tłukli go kółkami karabinów. W pewnej odległości za nimi posuwała się druga grupa niemieckich żołnierzy. Podtrzymywali ślaniającego się

oficera niemieckiego z obandażowaną głową. Obie grupy weszły na podwórze Laskowskich. Człowieka w kożuchu po raz ostatni rzucono na ziemię. Drugiego wprowadzono od izby. Niemiec mamrotał coś, co brzmiało jak „kaput”, mdlejącymi palcami wyciągał z kieszeni białą jakis fotografie. Widać było, że chwile jego są policzone.

Człowiek pozostawiony na podwórku był już prawie martwy. Oczy miał zamknięte, oddech rzadki, krótki, urywany. Mundur na piersi rozpięty czyste rozzerwany, widać było dużą, krwawą plamę. Mundur polski, kawalerski. Laskowsky poznali go od razu. Mieli przed sobą Hubala. Wydawał ostatnie tchnienie. Powiedzieli Niemcom, że nigdy nie widzieli na oczy tego oto człowieka. „A myślisz się jego wtenczas zaparli!” — tak właśnie powiedział do mnie Zygmunta Laskowskiego, kilkunastoletni wówczas wyrostek i słyhać było w jego głosie jakby lekka nutę wstydu czy żalu, że tak właśnie a nie inaczej postąpił. A przecież mieli do tego największe prawo, nawet mieli obowiązek tak powiedzieć.

Niemcy cieszyli się. Wydobyli aparaty fotograficzne, ustawili się grupami w ten sposób, aby obiektywy uchwylić także umierającego majora. Potem kazali przygotować wóz. Burtnice były pokryte gnojem, który poprzedniego dnia Laskowski wywoził na pole. Ale im to nie przeszkadzało. Być może uważali nawet, że właśnie na taki karawan zaśluził polski oficer. Odeszli z wozem drogą przez wieś w kierunku Poświętnego.

Kiedy Józef Matuszcak zobaczył, że szycie się obława na Hubala, postanowił zniknąć z Poświętnego. Sam należał kiedyś do oddziału i chociaż po redukcji w Galickich Krzeczonowskich zjadł mundur i powrócił do rodzinnej wsi, żywił uzasadnione obawy, że jeśli ktoś złoży na niego donos, zostanie bez

ceregieli rozstrzelany. 30 kwietnia wczesnym rankiem wymknął się ze wsi pełnej już wojska. Na plecach niósł grabie i pustą workę. Gdyby Niemcy zatrzymali go, miał się tłumaczyć, że idzie do lasu grabić ściółkę. Razem z Matuszczakiem opuścił Poświętne jego kolega Marian Piasecki. Szli w kierunku wsi Stefanów.

Prawie zaraz za Poświętnem, w lesie, wpadli na oddział niemiecki. Na nie zdążyli się tłumaczyć i „dowodzą rzeczy” w postaci worków i grabi. Uznano ich za żołnierzy Hubala wymykających się w przebraniu z obławy. Wracali przebytu przed chwilą drogą, tym razem mając przystawione do karków lufy szmajserów.

Przy wjeździe do Poświętnego, od strony Studzianny, stoi niewielka kapliczka świętego Jana. Tuż obok niej do szosy Odrzywoł — Inowódz wpada wiejska droga biegnąca od Aniela. Na tym skrzyżowaniu grupa Niemców, prowadząca obydwo młodych ludzi, natknęła się na inną grupę, eskortującą chłopięcy wóz ze zwłokami polskiego oficera. Na szosie czekała na nich wojskowa ciężarówka. Obie grupy zatrzymały się. Żołnierze rozkazali Matuszczakowi i Piaseckiemu zdjąć z wozu zwłoki Hubala i przelożyć na samochód. Przedtem jednak zrobili „pamiętkowe” zdjęcie. Jeżeli taka fotografia gdzieś się do dzisiaj przechowała, można by było zobaczyć na niej bezwładne ciało majora zwisające na ramionach dwóch pobitych i pokrwawionych polskich chłopów. Wokół stoją zadowoleni ludzie w mundurach w kolorze feldgrau.

U stóp wzgórza, na którym rozsiadł się klasztor księży filipinów w Poświętnem, pomiędzy kościółkiem a ogromną, rozłożystą lipą, znajduje się niewielki plac. Na ten plac spędzono wczesnym przedpołudniem 30 kwietnia 1940 r. mieszkańców wsi Poświętne. Z poczty wyciągnięto także młodego praktykanta Stefana Roszkowskiego.

W cieniu lipy, otoczona przez niemieckich żołnierzy, stała odkryta ciężarówka. Na jej platformie spoczywały zwłoki polskiego oficera. Roszkowski poznał Hubala od razu. Nic dziwnego. Przecież jeszcze niedawno w Galickich Krzeczonowskich słuchał jego rozkazów jako żołnierz pieszej kompanii. Twarz majora pokryta gestym, długim zarostem, była zadarta wysoko do góry. Obok zwłok leżała rogatywka. Roszkowskiemu wydało się, że major porusza oczami, że jego pierś podnosi się jeszcze oddechem. Ale to było złudzenie. Hubal leżał martwy, wystawiony przez zwycięzców na pokaz tłumowi. Mieli być z czego dumni. Przez siedem miesięcy oszczali

go bezskutecznie. Dzisiaj dwu pułkom Wehrmachtu udało się nareszcie odnieść zwycięstwo nad dwudziestu dwoma polskimi żołnierzami.

Niemcy kazali jeszcze identyfikować ludności zwłoki. Czy była to zwykła niemiecka pedanteria, czy jeszcze jedna próba upodlenia podbitego narodu?

A potem nie było (jak pisze w „Hubalczykach” Wańkowicz) żadnego publicznego aktu galanterii czy niemieckiej „rycerskości”. Nie przyjechał generał Blaskowitz i nie salutował w milczeniu pokonanego przeciwnika. Ciężarówka zawróciła po prostu na zakurzonej szutrówce i odjechała w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego.

Ale jak zginął Hubal? Zasadniczo istniały do tej pory tylko dwie pisane relacje, dotyczące interesujących nas wydarzeń. Przede wszystkim rozdział „Śmierć Hubala” w „Hubalczykach” Wańkowicza i artykuł Marka Szymańskiego, oficera oddziału — „Ostatnia droga majora”. Ale Szymański w starciu pod Anielim udziału nie brał, pisząc opierał się na relacjach kolegów, a zawarty w dziesięciu zdaniach opis wypadków jest właściwie kwintesencją tego, co w sposób zbeletryzowany napisał Wańkowicz. Ten ostatni zaś opiera się najwyraźniej na opowieści uczestnika walki wachmistra Romualda Rodziewicza, którego autor spotkał w Anglii. Oto, w skrócie, opis wypadków tak, jak je widział Rodziewicz:

Z Wólki Kuligowskiej, gdzie oddział obozował jeszcze 28-29 kwietnia, Hubalcy, starając się wyrwać z niemieckiej obławy, przemykają do niedalekiej wsi Ponikla, a następnie zawiadają o osadę Fryszeczka. Wszędzie jednak patrole natakają się na Niemców. Z Fryszeczki miejscowy młynarz — przewodnik prowadzi ich do Aniela. Jest 30 kwietnia. W chwili po wystawieniu posterunków do majora podbiega „Zemsta” z karabinem, wyrwanym niemieckiemu żołnierzowi, który pojawił się nagle zza drzew. W tym momencie grzmia niemieckie karabiny. Hubal podbiega do drzemającego Rodziewicza i krzyczy: Niemcy! Rodziewicz zrywa się. Wokoło beżładna strzelanina, zamieszanie. Słyszy jeszcze głos majora — już z innego miejsca — „Alleki do mnie!!!” Po chwili wachmistrz spotyka „Bema”. „W majora uderzyła salwa z odległości siedmiu — ośmiu metrów. Drgnął, pokazał na krzaki, wpadł w nie z „Dolegą” i „Tadkiem”. Pewno pod-



# Łowy teatralne

Maria Bechcyc-Rudnicka

**A**LEŻ to fajne! — powiedziała uczennica uczennicy w antrakcie lubelskiego spektaklu „Henryk VI na łowach”. Do kółka panowało przyjemne ożywienie, jak wśród ludzi, którym sprawiono miłą niespodziankę. „Fajne?” Hm — owszem, właśnie „fajne”. Taki chyba cel chciał przede wszystkim osiągnąć Stefan Burczyk, który rzecz dla Teatru Osterwy wyreżyserował, zaznaczając przy tym skwapliwie w programie: „komedia dworska”.

Dworu już nie ma, a więc może być stylowo-paseistycznie, bajkowo, relaksowo, na wskroś wesoło. I rzeczywiście — przedstawienie ma komplet zalet tej kategorii.

Już na wstępie cieszy wzrok ładna oprawa sceniczna zaprojektowana przez Jerzego Toronczyka: ten domek w lasach królewskich, zredukowany do wymiarów nowoczesnie infantylnych, ten las awangardowo aluzyjny, straszący na niby. No i pięknie zharmonizowane kostiumy — poważnego Kokla, utrzymany w nobliwych brązach, biały fircykowaty strój niegodziwego łowelasa, Milorda Rydynga, zdobna w powiewną czerwień bogata sukienka Betsy, córy marnotrawnej po niewoli...  
Pełno w tym spektaklu dowcipnych kawałów i sytuacji, charakterystycznych dla nowoczesnej konwencji. Syn leśniczego łowi ryby w domniemanej rzce (przypominał mi się Jan Machulski myjący nogi z trąty na pełnym morzu czwartego piętra Teatru Osterwy); potem tenże Ryszard przezabawnie czyta list „zhańbionej” Betsy. Radość odnalezienia ukochanej skontrastowana z łzawym tonem jej spowiedzi daje wyborowy efekt komiczny. Nad wszystko udatnie jest rozproszone nuda monologów narracyjnych: w czasie opowiadania Henrykowi o krzywdach taty Betsy, Roberta, „życiowo” obegrany jest rekwiwit — dzban, z którego sobie popija usadowiona na przyłbie trójka postaci. Rozwlekła gadaninę żony strażnika Kokla, przechwalającej się swymi sukcesami „za bytności pokojową u kuchmistrzowej jednego księcia” — skutecznie ożywia znówuż kontrast werwy narratorki z sennością słuchaczy.

W śmiech bez pudła wycelowane jest także wzajemne poszukiwanie się w konwencyjnym mroku. Ale już nieco przejawiane beczenie pary kochanków bawi tylko widzów młodszych, którzy reagują na sprawę „krzywdy” Betsy jak na rzecz absolutnie nieistotną, zwłaszcza gdy w finale następuje rekompensata w postaci „alimintów” (przelanych wprawdzie z XVIII-wiecznym sentymentalizmem na... małżonka in spe).

Zartu dopinają efektiki dźwiękowe i inne: bukoliczne świergolenie ptaszek leśnych, krzyk puszczycy — dla nastroju, jarzące się ślepia sowy — dla poastrachu.

Aktorzy grają równiutko na całej rozciągłości sztuki, ani na chwilę nie wypadają z konwencji przedstawienia. Przemownym komizmem technię postać Małgorzaty w czułym ujęciu Zofii Stefańskiej (ten arystokratyzm ex-pokojowej w zestawieniu z leśną zasiedziałością). Znakoimity jest Piotr Brzeziński (Milord Rydyng) w swych lansadach i rewansach — pocieszenie go parodiują gajowi (Roman Kruczkowski i Henryk Sobiechart). Kulminację komizmu osiąga Brzeziński, „robiąc” szpada jak samuraj w operze japońskiej. Pamiętam, z

podobnymi wygibasami grał u nas kiedyś dworskiego uwodziciela w „Grzegorz Dymale” Zbigniew Roman, ale nie uzyskał aprobaty szerokiej opinii publicznej, bo był to naonczas styl prekursorski. Danuta Rastawicka zagrała Betsy z nowoczesnym „dystansem”,

nie dotrzymując kroku, ściślej mówiąc — biegu, trzem Milordom (Ludwik Pauczyński, Zbyszo Szczepiński i Piotr Suchora). Nareszcie mógł się wykazać sprawnością aktorską i dowcipem — po dłuższej przerwie, podczas której kierownictwo teatru wykorzystywało go nie wiedzieć czemu w statycznych epizodach. Również nie wiadomo dlaczego wegetuje w epizo-



W. Bogusławski „Henryk VI na łowach”. Maciej Polaski (Robert), Roman Bartosiewicz (Henryk VI), Jan Bógdół (Ferdynaand Kokli).

Foto: W. Paryś

traktując swoją „krzywdę” rzeczowo. Dobrym pomysłem był moment lekkiego zawahania się w happy endzie: czy nie przyjąć jednak reki bogatego i szarmanckiego Milorda? Dodaje to cech realnych postaci sielskiego dzwecznia, które wszakże zostało uwiedzione nie tak już całkiem mimo woli.

Przyjemny jest Roman Bartosiewicz jako król incognito w gościnie u strażnika szych lasów. Grał w tarapatach leśnego zabłąkania postać o postawie opianowanej na miarę piastowej godności, a w dalszym qui pro quo — dostojnika wielce dobroliwego. Nawiasem mówiąc, w powieści Dodek, skąd Wojciech Bogusławski zaczerpnął wątki do swej sztuki, postać Henryka VI, króla panującego w XV wieku, musiała mieć niemalą wagę, gdyż w stosunkach feudalnych król był czynnikiem pozytywnym w przeciwważeniu do możnowładców rozdzierających kraj na części. A i Bogusławski też nie wazył sobie lekce postaci króla, w której trawstawał, jak wiadomo, sprzyjającego mu Stanisława Augusta. Czas zrobił swoje: dziś i aktor, i widz traktują Henryka VI jako króla z bajki.

Ala wróćmy do obsady. Maciej Polaski, jak zawsze, tworzy postać, która utrwała się w pamięci. Jego Robert, ojciec „uwiedzonej”, nie narzuca się natrętnie widzowi tanimi gierkami, a jednak ta z lekka ironiczna postawa świetnie się wkomponowała w koncepcję spektaklu i jest wyraźnie dostrzeżalna. Witold Zarychta (slugus Rydynga, Lurwell) ze swej strony dziel-

dzikach Piotr Suchora, swego czasu doskonały Prisyplin z „Pluskwy” w teatrze studenckim...  
Styl, styl, styl. Nie zapomniał reżyser i o takich atrybutach teatralnej nowoczesności, jak zapowiadanie antraktywów w postaciach czy finałny bieg wokół dekoracji z zachowaniem właściwej rangi par. Zapomniał tylko...  
— To pani zapomniała o dwóch ważnych postaciach.  
— Chwileczkę cierpliwości, recenzent też ma swoją koncepcję lub przynajmniej koncept. Ale kierownictwo artystyczne Teatru Osterwy istotnie zapomniało, po co Bogusławski napisał swoją sztukę i po co ją dzisiaj trzeba wystawić. Przecież nie dla myślikowej przygody Henryka VI i nie dla samego wzmożenia frekwencji na widowni, coraz częściej świecącej pustkami. Zaprawdę dziwne bywają owe fałta libelli. Wiadomo — Wojciech Bogusławski tworzył pod płaszczykiem sztuki osnutęj niby to na dziejach Anglii — współczesny pamflet, zgryźliwy, gorzki, na katastrofale

— To pani zapomniała o dwóch ważnych postaciach.  
— Chwileczkę cierpliwości, recenzent też ma swoją koncepcję lub przynajmniej koncept. Ale kierownictwo artystyczne Teatru Osterwy istotnie zapomniało, po co Bogusławski napisał swoją sztukę i po co ją dzisiaj trzeba wystawić. Przecież nie dla myślikowej przygody Henryka VI i nie dla samego wzmożenia frekwencji na widowni, coraz częściej świecącej pustkami. Zaprawdę dziwne bywają owe fałta libelli. Wiadomo — Wojciech Bogusławski tworzył pod płaszczykiem sztuki osnutęj niby to na dziejach Anglii — współczesny pamflet, zgryźliwy, gorzki, na katastrofale

— To pani zapomniała o dwóch ważnych postaciach.  
— Chwileczkę cierpliwości, recenzent też ma swoją koncepcję lub przynajmniej koncept. Ale kierownictwo artystyczne Teatru Osterwy istotnie zapomniało, po co Bogusławski napisał swoją sztukę i po co ją dzisiaj trzeba wystawić. Przecież nie dla myślikowej przygody Henryka VI i nie dla samego wzmożenia frekwencji na widowni, coraz częściej świecącej pustkami. Zaprawdę dziwne bywają owe fałta libelli. Wiadomo — Wojciech Bogusławski tworzył pod płaszczykiem sztuki osnutęj niby to na dziejach Anglii — współczesny pamflet, zgryźliwy, gorzki, na katastrofale

— To pani zapomniała o dwóch ważnych postaciach.  
— Chwileczkę cierpliwości, recenzent też ma swoją koncepcję lub przynajmniej koncept. Ale kierownictwo artystyczne Teatru Osterwy istotnie zapomniało, po co Bogusławski napisał swoją sztukę i po co ją dzisiaj trzeba wystawić. Przecież nie dla myślikowej przygody Henryka VI i nie dla samego wzmożenia frekwencji na widowni, coraz częściej świecącej pustkami. Zaprawdę dziwne bywają owe fałta libelli. Wiadomo — Wojciech Bogusławski tworzył pod płaszczykiem sztuki osnutęj niby to na dziejach Anglii — współczesny pamflet, zgryźliwy, gorzki, na katastrofale

Dokończenie na str. 11

## POWTÓRKA Z POLSKIEGO

# Oświecenie

Urszula Kowalska

**O**ŚWIECENIE europejskie oparło się o francuską i angielską tradycję filozoficzną XVII wieku, biorąc z niej główne tendencje i sposób rozumowania. Wyzyskało dla własnych potrzeb myśl racjonalną oraz dążenia do empirycznego sprawdzenia świata i jego zjawisk i zdyskreduowało wszelką metafizykę.

Filozofia wieku XVIII nie tworzyła wielkich, wszechogarniających systemów; miała nastawienie uytylitarne i szczegółowe. Zajmowały ją różne dziedziny życia, od politycznego i społecznego począwszy, poprzez sprawy kultury i sztuki aż do próby zbudowania nowego kodeksu etycznego i zasad ludzkiego postępowania. Bez względu na różnicowanie wewnętrzne, filozofia ta zaatakowała system absolutystyczny, podstawy ustroju społecznego opartego o podział klasowy oraz religię, która została uznana za sojusznika klas rządzących i wszelkiego wsteczństwa.

Filozofowie oświeceniowi wypowiedali się również dobrze w traktatach dotyczących nauk szczegółowych jak i twórczości literackiej, czego najlepszym przykładem może być Wolter, który pisywał błyskotliwe powiastki filozoficzne („Kandyd”), poematy heroikomiczne oraz tragedie. Podobnie postępowali Diderot, Rousseau i wielu innych. Wspólnym dziełem filozofów francuskich wieku XVIII była Wielka Encyklopedia — zbiór haseł, omawiających różne zjawiska ówczesnego życia, głównie życia politycznego i społecznego. Ponieważ pojawiły się w niej poglądy o równości wszystkich ludzi, ostre wystąpienia przeciw ukłaskowi społecznemu oraz twierdzenia, że władza nie pochodzi od Boga, lecz wynika ze swego rodzaju umowy społecznej, zabroniono wydawania i kolportowania dzieła we Francji i zaczęto je wydawać poza granicami tego kraju. Encyklopedię nazywano czasem matką chrześną Wielkiej Rewolucji, ponieważ zawarte w niej poglądy daly teoretyczne podstawy ideologii burżuazijnemu odłamowi społeczeństwa.

Stanowisko wyjątkowe wśród filozofów oświeceniowych we Francji przypada Rousseau, którego bóstwem był nie tylko Rozum, ale i Natura. Zakwestionował on zdobycze współczesnej mu cywilizacji i głosił „powrót do natury” jako jedyną drogę odrodzenia człowieka. Ponieważ oprócz traktatów o charakterze społecznym (np. „Umowa społeczna”) pisywał utwory literackie, w których podkreślał wagę uczucia w życiu ludzkim, stał się jednym z czołowych przedstawicieli sentymentalizmu w literaturze — głównie dzięki „Nowej Heloizii” — i został potem uznany przez romantyków za jednego z ich prekursorów.

Filozofia wieku XVIII miała ogromny wpływ na kształtowanie się obiegowego światopoglądu epoki. Oddziaływała na wszystkie dziedziny życia, wyznaczała sposoby rozwiązywania ważnych problemów i stąd wynikało jej uprzywilejowane miejsce w procesie formowania się osiemnastowiecznej kultury.

Oświecenie polskie oparło się o wzory zachodnie, ale wykazało sporo inwencji w sposobie przystosowania ich do warunków rodzimych. Główny nacisk położono na problem przekształcenia i wychowania społeczeństwa, które po czasach saskich dziedziczyło ciemnotę, nietolerancję religijną, pniaństwo i cały zespół cech nazwanych zbiorczo sarmatyzmem. Miało ono swoje fazy rozwojowe, wyszczególnione dokładnie w każdym podręczniku historii literatury, pominiemy więc sprawy periodyzacji polskiego Oświecenia, zajmując się głównie gatunkami literackimi tego okresu.

W wieku oświeconym wierzono, że literatura jest potężnym narzędziem w walce o nowego człowieka i o poprawę rzeczywistości społecznej. Kultura polska z okresu największego rozkwitu myśli oświeceniowej zyskała protektora w osobie światłego i wykształconego króla Stanisława Augusta. Skupiał on wokół siebie wybitnych artystów różnych dziedzin, zachęcał ich do pracy, służył radą i pomocą finansową. Mecenat królewski odegrał sporą rolę w rozprzestrzenianiu się idei oświeceniowych w Polsce i w ówczesnym rozkwicie kultury i sztuki.

Literatura oświeceniowa, inspirowana racjonalną myślą filozoficzną, miała u swych podstaw estetyczne zasady mimetyczne, nakazujące naśladowanie rzeczywistości. Wystąpiła ostro przeciw barokowemu kracjonizmowi i jego ozdobności stylistycznej, wymagając jasnej konstrukcji utworu literackiego, przejrzystości i klarowności słowa. Wymagała od poety talentu i wykształcenia, zajmowała się pierwszorzędymi problemami i zaangażowania społecznego.

Literatura ta wykształciła sporo gatunków zdolnych udźwignąć ważną problematykę dnia codziennego. Należą do nich: powszechnie uprawiana w tej dobie bajka, satyra, poemat heroikomiczny, komedia oświeceniowa oraz powieść. Nie znaczy to, że były to jedyne gatunki w polskiej literaturze XVIII wieku, ale te właśnie spotykamy najczęściej.

Bajka — jeden z najstarszych gatunków literackich świata — zrobiła niesłychaną karierę w Oświeceniu; nadawała się do obarczenia treściami dydaktycznymi, pozwałała na taką konstrukcję fabuły, by daly się w niej pomieścić przykłady typowe, charakterystyczne zachowania grupy ludzkiej a nie jednostki. Używała często różnych typów alegorii, wyrażających się bądź przez postawienie (postać zwierząt zamiast ludzi — np. lis uosabiał chytrość, wół — pracowitość i brak wyobraźni itp.), bądź przez uosobienie (w bajce Krasickiego „Wino i woda”). Istnienie alegorii nie jest jednak warunkiem koniecznym dla bajki; może się ona doskonalić bez niej obejm, czego najlepszym przykładem jest „Wstęp do bajek” Krasickiego.

Gatunek ten był w wieku XVIII uprawiany powszechnie; oprócz Krasickiego, który był jego mistrzem, bajki pisywali Naruszewicz, Trembecki, Zabłocki i wielu innych. Cechą charakterystyczną bajki jest to, że ukazuje ona świat realny, taki, jakim on jest w istocie. W świecie tym silniejszy zawsze pokonuje słabszego, zwycięża spryt, nie sprawiedliwość, każde jagnię jest pożerane przez wilka.

Oświecenie wykształciło dwa typy bajki: epigramatyczną i narracyjną. Epigramatyczna jest zwięzła, zarysowuje ogólny schemat sytuacji typowej i zaopatrjuje go w pointę; narracyjna opowiada zdarzenie w jego ciągłości czasowej i zdarzenie to opatrjuje morałem.

Satyra pojawiła się późno jako gatunek literacki, bo dopiero w literaturze rzymskiej. Niektórzy badacze zaprzeczają jej istnienie jako gatunku i twierdzą, że istnieje tylko nastawienie satyryczne, tzn. skłonność do konstruowania tendencyjnego, skrzywionego obrazu świata, w którym eksponuje się negatywne cechy świata. Jednakże literatura oświeceniowa stworzyła dosyć jednolity gatunek satyry, omawiającej problemy polityczne i społeczne. Głównymi jej przedstawicielami w Polsce byli Krasicki i Naruszewicz. Oba piętnowali w swoich satyrach przeżytki sarmatyzmu, takie jak pniaństwo, pijanństwo, skłonność do zbytku, brak zainteresowania kulturą i literaturą, wiarę w zabobony itp. zjawiska. Aby je ośmieszyć, budowali fabule na zasadzie dialogu z wymaginowanymi rozmówcami, przedstawicielami szlachty sarmackiej, przerywując jego sylwetkę i ekspozując wszystkie jego cechy negatywne.

Miejsce wyjątkowe w polskiej satyrze oświeceniowej zajmuje Krasickiego satyra „Do króla”, która jest panegirkiem w formie satyry, utworem pochwalającym króla i krytykującym jego licznych przeciwników.

Poemat heroikomiczny powstał jako reakcja na wszelką epikę siedemnastowieczną; jest on wyraźnie paradytacyjny w stosunku do epiki barokowej, podchwytuje i wyśmiawa wszystkie zasadnicze chyty tego gatunku. Poemat heroikomiczny podejmuje przeważnie jakiś temat nierbyty wielki i poważny, i prezentuje go w sposób patetyczny. Owa dysproporcja między tematem i sposobem ujęcia powoduje efekt komiczny. Wystarczy przytoczyć paradytacyjną inwokację do „Myszejdy” Krasickiego:

Wy, co śpiewacie bobaterów dzieła  
I świat dziwicie eudy rozlicznymi,  
Jeśli was sława ieh wielka ujęła  
I praca, która stali się zacnymi,  
Pozwólcie uieć to, co przedsięzłazia  
Nie Muza zdjata duchami wiezczyimi,  
Ale wierszopis pracujacy w ciszy,  
Nie dla rycerzów walecznych, lecz myszy.

Głównymi przedstawicielami tego gatunku w Polsce byli I. Krasicki i K. Wegierski.

## Białostocki festiwal muzyki i poezji

**D**O pokaźnej liczby różnorodnych festiwali muzyki, piosenki, filmu, teatru itp. przybyła w tym roku jeszcze jedna impreza artystyczna — I Ogólnopolski Festiwal Muzyki i Poezji w Białymstoku.

Po raz pierwszy podniesiono do rangi festiwalu znane od wieków łączenie muzyki i poezji — sztuk tak bardzo bliskich sobie w efektach artystycznych, choć posługujących się odmiennym tworzywem: dźwiękiem i słowem. Pomysł połączenia obu dyscyplin sztuki okazał się na tyle frajny, a zarazem oryginalny, że minister Lucjan Motyka przyjął protektorat nad białostocką imprezą artystyczną. Również umieszczenie festiwalu na samym początku kalendarza imprez poświęconych 25-liciu Polski Ludowej, przynosi niemalą satysfakcję organizatorom tego wspólnego świata muz.

Na I Ogólnopolski Festiwal Muzyki i Poezji — trwający od 9 do 16 lutego br. — złożyło się osiem wieczorów artystycznych. Poszczególne koncerty odznaczały się zarówno ambitnym programem muzyczno-poetyckim, jak i z reguły wysokiej klasy wykonawstwem. Oba czynniki — ten, repertuar i wykonawstwo — w równym stopniu decydowały o powodzeniu artystycznym tego z pozoru tylko prostego mariażu sztuk.

Trzeba przyznać, że obronna teka wyszła z próby autorzy repertuaru fe-

stiwalowego. Wszystkie wieczory artystyczne cechowała harmonijna kompozycja muzyki i słowa, np. podczas koncertu inauguracyjnego na ile „Bajki” Moniuszki i „Szeherazady” Rimskiego-Korsakowa snuły się „Basnice 1001 nocy”. Interesująca została pomysły koncert pt. „Muzyka i poezja rewolucyjna”.

Wieczór pt. „Kwiaty polskie” wypełniły pisane z myślą o ojczyźnie strofy Norwida, Tuwima, Gabczyńskiego oraz muzyka Chopina, Szymanowskiego, Paderewskiego. Był to zarazem chyba najbardziej interesujący koncert festiwalu, prawdziwy bukiet sztuki polskiej, bowiem prezentacja doskonałych utworów dokonali artyści tej miary, co Barbara Hesse-Bukowska, Zofia Bystówna i Zbigniew Zapasiewicz.

Wśród koncertów inauguracyjnego festiwalu muzyki i poezji, dedykowanego młodej Jubilate — Polsce Ludowej — nie zabrakło utworów potwierdzających nieprzemijającą wartość sztuki. Najlepsze dzieła epoki minionych przypominano podczas wieczorów: „W dawnych wiekach”, „Ballady i mity”, a także w koncercie zatytułowanym „Duety miłosne”.

Wykonawcy festiwalu białostockiego rekrutowali się spośród najlepszych artystów. Wystarczy przypomnieć oprócz wymienionych wyżej nazwiska Grychtołowskiego, Kepińskiego, Michałowskiej, Boukolowskiego, Holoubka i innych. Artyści ci prezentowali utwory ze skarbicy kultury polskiej i światowej. Niemniej jeden z wieczorów poświęcono wyłącznie Białostoczczyźnie. W celu podkreślenia specyfiki koncertu „Regionalnego” wieców ten odbył się w sali muzeum w ratuszu. Wśród pa-

miałek z przeszłości Ziemi Białostockiej aktorzy miejscowego Teatru Dramatycznego im. Węgierki recytowali wiersze białostockich poetów, śpiewała rozczepająca karierę operowa w Białymstoku obecna primabalerina Teatru Wielkiego Halina Slonicka, grał własny utwór pt. „Continuum” Jerzy Maksymiuk — również niedawny białostoczanie, który swym talentem utworzył sobie drogę do solekcyjnych sal koncertowych. Warto wspomnieć, że Maksymiuk skomponował także świetnie oddający specyfikę festiwalu hejnał.

Wyprzedając uczestników festiwalu nie wolno zapomnieć o głównym inicjatorze tej imprezy, a zarazem doskonałym wykonawcy — Państwowej Orkiestrze Symfonicznej w Białymstoku. Zespół, kierowany od przeszło dziesięciu lat przez Jana Kulasaiewicza, zademonstrował kunst muzyczny godny marki festiwalowej, za co otrzymał zresztą nie miłkniec brawa widowni. Umuzyczniana od lat publiczność Białostoczany nie zawiodła. Niektóre z koncertów trzeba było postarzać w formie popołudniówek w mieście wojewódzkim lub w powiatach.

Trzeba przyznać, że festiwalowej muzyki i poezji towarzyszyło życie zaangażowanie zarówno władz polityczno-administracyjnych województwa, jak i środowisk twórczych np. dlestwy przygotowali na otwarcie festiwalu kilka nowych ekspozycji malarstwa, rzeźby i grafiki.  
Na zakończenie należy życzyć, by w następnych latach festiwal białostocki stał się imprezą znaną w całej Polsce.

H. Pilipiuk



Musimy swoją Ojczyznę  
pachnącą różami i chlebem  
wprzód nakryć  
własnym sercem  
jak gdyby drugim niebem  
JAN POCEK

# Zapole

Tadeusz Kubas

zostań

słońcem nazwana  
wracasz odchodząc  
kwiatem nazwana  
łatwo  
barwy tracisz  
metafory  
rodzajmy bogatym  
rodzajmy metafory  
choć cząstką  
naszego żywiołu  
zostań  
naszego  
powszedniego  
żywiołu

Nr 4 (7)

2 III 1969

Rok III

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Wiesław Kulikowski

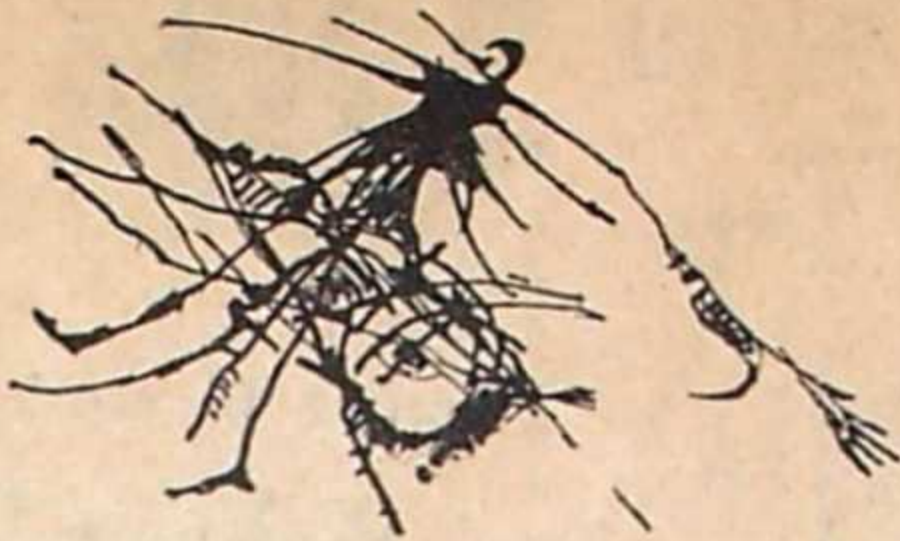
## Uczę się drzewa

Uczę się drzewa — jego sęki trudne.  
Uczę się śniegu, który dawno opadł —  
i słowa w stole tak jak życie kuje,  
które zatrzymasz w bezzieżelnych dłoniach.

Uczę się jeszcze w drzewie tamtych rozstań,  
zapamiętuję drzwi i gołe ściany —  
i ręce twoje znam w kartce na pamięć,  
i z twoich kwiatów mógłbym być pytany.

Uczę się ciebie — w ścianach sen bieleje.  
Pod drzwiami drzewa kuja śnieżne liście —  
i na podłogę spadam jak na zielenie —  
i każda drzażga słońca we mnie kwitnie.

Rzeszów



Edward Zolowski

## List

pozwiól  
że spytam cię Mario  
o to słońce  
zielone  
które nosiłaś  
we włosach  
za naszym  
wierzbowym domem

spytam cię jeszcze  
o płoty  
grodzone  
jesiennym deszczem  
o te sosnowe  
pamiętasz  
sławione fletem  
i wierszem

w symfoniach glogów  
galaktyk  
wysyłam  
anioły  
do ciebie  
— błękitem  
w kielichach dłoni  
ękrzypcami księżycą  
w powiewie

ja mogę  
twarzą przy ziemi  
wracać do Matki  
do Pługa  
— chociaż po łące  
w granatach  
— chociaż po roście  
w piotunach

i znów będziemy razem  
z twoim słońcem zielonym  
noszonym we włosach  
poranny  
za naszym  
wierzbowym domem

Rzeszów

Rzeszów

Jerzy Jedziniak

## Song I

Tadeuszowi Kubasowi

tak mało słońca  
na naszych twarzach  
nie słychać serca  
pod krochmałem koszul  
kwadraty błękitu  
coraz bardziej strzeżone  
reklamą neonów  
piętami wieżowców  
pajęczyną elektrycznych trakcji

stalowe konie  
zastępują pot i sól  
w chłodnicach wrze woda  
silnik olej wyrzuca  
tempo tempo  
w żelaznej masce  
coraz mniej siebie  
coraz dalej od siebie  
a tutaj z góry prószy  
białością tak piękną  
tak niedorzeczną  
aż gwiazdy bledną z zachwytu

i nagła cisza  
cisza tak wielka  
że słychać  
jak ptak człowieka śpiewa  
i kamień śpiewa człowieka  
zaczarowany w młyńskie koło  
tak mało słońca  
na naszych twarzach  
tak mało serca  
pod krochmałem koszul  
a tutaj z góry prószy białością  
w tęczę wschodzących ozimim  
o zapachu  
prawdziwego chleba

Lublin

Józef Osmoła

## Modlitwa

Módl się za nami  
w godzinę pelzania  
po wychudle wiersze  
za głowę w pisku  
za śmierć w poczuciu  
za słowa wymilkłe

jak nasze cienie  
mają zwinność kota  
umiemy je nazwać  
tak bardzo dokładni

o my umiemy  
udawać księstwo  
ptakiem się nazwać  
albo i kamieniem  
postuszone naszym  
stań się

Lublin



Maria Kamińska

## Dziecko

..... serce z połamanym patyków  
na ścieżce pod parkanem  
pośpieszna kompozycja  
niekochanych rąk  
na udęczenie żrenic  
i niepokorę ust

Koszalin



Wiesław Uptas

## Jakich słońce trzeba

Blask słońca cudzego  
ośniewa  
w nim cień własny  
wykrzywiony

jakich słońce trzeba  
by właściwie osiągnąć wymiary

własnego słońca  
zaćmienie całkowite  
opłaszam

Koszalin

Józef Małek

## Poczęcie

wsparłem pierś  
na dwóch półkulach życia  
łakomy tajemnic  
twojego oddania  
i tak  
pełna troski macierzyństwa  
poczęłaś z miłości naszej  
rodząc na obraz  
i podobieństwo nasze  
syna

Lublin

Józef Kawalek

## Wieża sztuki

Z wysokiej wieży muzeum  
schodziłem stromymi schodami,  
depcząc ekspozycje  
skręcane w rulony.  
Potykałem się o nie,  
spadałem  
i one spadały.  
W oszklonych oprawach  
obrazy przyskaly  
jak fontanna,  
wydobywając się z ram.  
Uciekało piękno kroplami  
w przymacie barw.  
Staczałem się z wieży skokami  
do rowu wyobraźni,  
na pozycje obronne,  
by kroplę sztuki ocalić  
i jedną z jej barw pod pazuchą  
schować.

Rzeszów

Czesław Molenda

## Płyniemy

Świt rozsunął kurtynę nocy  
dzieląc na sceny  
akt naszego jestestwa.

Płyniemy, nie wiedząc końca,  
oddech, jak ruch wiosła  
pcha naprzód.  
Pierwsi znikają za horyzontem.

Zapatrzeni przed siebie  
stoimy w miejscu,  
chociaż wciąż nowe wody.

Tak zapatrzeni jesteśmy młodzi,  
chociaż za łodzią płynie łódź.

Lublin

Józef Janowski

To ja  
Pomijany  
Na rękach mam ogień  
Nadto jestem wygrzybiony przez  
sól  
Zasadniczo mógłbym być  
identycznie wycięty  
ale komu przyjdzie to do głowy.

Rzeszów

## Marian Berkowicz nad rzeką

pochylony nad rzeką  
zastawiam wędkę oczu  
bierze  
słowo

za chwilę  
ptaki jędrnych piersi  
zbudują gniazdo we mnie

muszelkami dłoni  
pełnymi rosy jaśminów  
przyniesiesz światło

Rzeszów

Piotr Bednarski

Ruchem słońca oddzielona  
od ziemi

Wystrójona jak do miłości  
Podchodzisz na brzeg morza

Czy starczy cię na moje pragnienie  
Czy starczy na głód wiatru

Koszalin

## Przed Zjazdem Krajowym

# 10 lat KKMP

**W**MARCU br. odbędzie się w Warszawie IV Krajowy Zjazd KKMP, podczas którego Klub podejmie próbę bilansu swego dorobku za ostatnie cztery lata oraz w minionym dziesięcioleciu.

Dziesięć lat temu z inicjatywy młodych ludzi parających się pisaniem, zaangażowanych w problematykę wsi, działaczy ZMW, lub sympatyków tej organizacji powstał KKMP.

KKMP jest ruchem kulturotwórczym, społecznym, zaangażowanym ideowo po stronie socjalizmu, skupiającym pisarzy-działaczy, krytyków literackich, pracowników nauki. Nie jest więc KKMP szkołą literacką, nie leży to w jego założeniach i niewiele jego członków zajmuje się literaturą profesjonalnie. W Klubie są ludzie różnych zawodów: nauczyciele, rolnicy, inżynierowie, leśnicy, lekarze, studenci itp. Wszystkich cechuje pasja spo-

leczności działania, obok uczestniczenia w codziennym życiu narodu poprzez wykonywaną pracę zawodową.

Tematem zasadniczym, podejmowanym w różnych konwencjach literackich przez piszących członków Klubu, jest rzeczywistość współczesna — temat dotyczy nas wszystkich, ludzi, którzy żyją i pracują w Polsce Ludowej. Uważamy bowiem, iż literatura współczesna powinna mówić o współczesnej rzeczywistości i być w nią twórczo zaangażowana.

Podczas Zjazdu przyjmujemy na siebie ambitne zadania zarówno w pracy społeczno-kulturalnej, politycznej, jak i twórczej. Program naszego działania pomysłany jest tak, aby wszyscy młodzi twórcy, którym bliskie są ideały społecznego działania na rzecz socjalizmu i patriotyzmu, których interesuje działalność kulturotwórcza, znaleźli w realizacji tego programu zaspokojenie swoich ambicji i inspiracji twórczych.

Każdy bilans skłania do różnorodnych refleksji. Niewątpliwym dotychczasowym osiągnięciem ruchu KKMP jest fakt wrośnięcia na trwałe w kulturalną mapę Polski, na której coraz więcej znaczą.

Klub mocno związany jest z wydawnictwami popierającymi nasz ruch, zwłaszcza z LSW i Wydawnictwem Łódzkim, w których ukazało się najwięcej wityrn poetycko-plastycznych prezentujących dorobek członków Klubu.

Długa jest lista pism społeczno-kulturalnych, z którymi Klub współpracuje, w niektórych posiada periodyczne dodatki stanowiące trybunę poszczególnych ośrodków, jawią się również pisma — organy poszczególnych ośrodków, jak np. wrocławskie „Kontrasty”.

W tym miejscu specjalny uклон w kierunku redakcji „Kamenu” za bardzo życzliwy stosunek do naszego Klubu, wyrażający się nie tylko goszczeniem już trzeci rok na la-

mach „Kamenu” naszego „Zapola”, lecz również udostępnianiem łamów dla innych ośrodków, jak chociażby aktualnie — Ośrodka Rzeszowskiego i Koszalińskiego, oraz częstymi publikacjami członków Klubu z całej Polski.

Lubelski Ośrodek KKMP w tym roku rozpoczął szósty rok swej pracy, powstał bowiem w styczniu 1964 roku, po ośrodku krakowskim — szósty ośrodek w kraju.

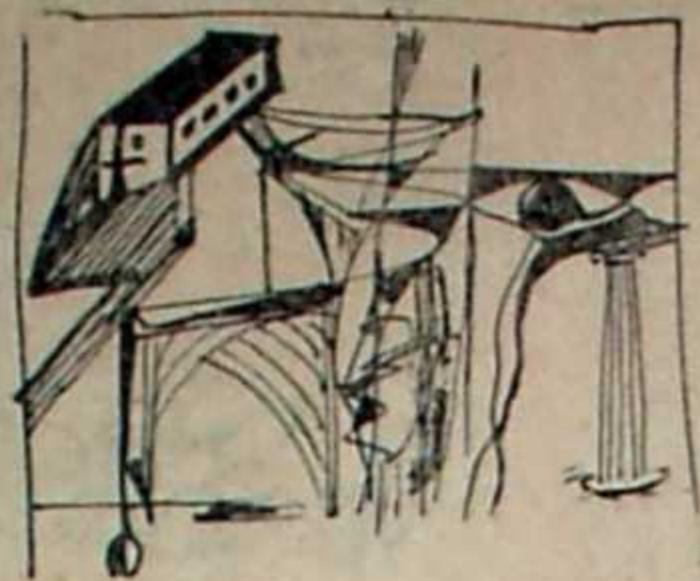
Na Zjazd wieziemy nasze skromne dotychczasowe osiągnięcia — obok ok. 200 spotkań i prelekcji, wyploszonych przez członków Lubelskiego Ośrodka KKMP w większych klubach „Rolnika”, „Ruchu”, SPR na terenie naszego województwa, osiem pozycji książkowych naszych członków, a jeszcze więcej w zanadru — tomików przygotowanych lub złożonych do druku oraz publikacje w pismach społeczno-kulturalnych całego kraju.

J. J.

Leszek Bakula

## Żółcią napojenie

na skrzydłach czarnej chustki wnieboodlot matki  
żona zakamieniała z głową pośród kolan  
nie będą aniołkami dzieci nazbyt chude  
bryzgnęło z boku krzyża szkło po półlitrowce  
zabłysła gwiazda sprzączki na ramieniu czarnym  
ogonem zmił pasek objął go za szyję  
ziemia się usunęła spod nóg według prawa  
kiedy bóg zmarły wychwasta — krzyż czeka na ludzi



Dominik Opolski

## Wojna

Gałęzie twoich snów szeleszczą  
dzisiaj niespokojnie; soki twego  
drzewa ożywiają marzenia.

Wiatr je rozsiewa —

w porach roku, w rowach czasu  
Gromadzą się nasłuchiwanie  
wypatrywania sprzed lat...

Wojna zaludnia pamięć —

Pomordowani wracają  
grzebać swoje ciała. Pielęgnują  
miejsca kaźni. — Odwiedzają. Powtórnie  
giną z braku czasu

twarze, ręce, strzały giną  
w swoim odbiciu  
drogi, oczy, legowiska przechodzą  
w inny sygnał  
— w kwiat  
utrwalający żrenice rozpięte  
nad czasem —

Lublin

Ludmiła Pietruszkowa

## My pod rozchwianym niebem

My pod rozchwianym niebem  
przytuleni do ziemi  
my biegnący do gwiazd  
my tańczący na brzegach  
niewygasłych kraterów —  
kto przywróci nam  
radość błękitu nieskażoną  
kto odejmie lęk  
naszym oczom —  
my pod rozchwianym niebem  
kariatydy bez ramion.

Rzeszów



Władysław Włoch

## Preludium z bielizną

odezwowało się we mnie w uszkodzonym  
gniewie

za koło  
stadko kornika co tam w ścianie drąży  
ludek bez rzemiosł  
z utajoną pamięcią na tajemnym kole  
lepią figurki cieleśnie kamiennie

jakie to one pokaż nie pokaże  
a one  
bezfigurne bezmyślne i byśmy  
w kanikule ich czół i pogód najemnych  
widzieli prosto za siebie i dla nich  
w kręgu rzemiosł pustynią do oka

powiedz na pustyni niepisane  
słowo  
na majdanie słońca każdy  
jest kto inny

kobiety zniosły ucztę w najczulsze ogrody  
bielizna chrząszczy leży w wodrościach.

Rzeszów

## Procesja

krzyk sztywnieje w wiszy na drewnianych kulach  
żebrek łapie w czapkę śliskie ryby wejrzenia  
skryte w esgkich suknoch w purpurze chorągwi  
rozhuśtanej nad głową miastowej madonny  
nad żebakiem w niszy Chrystus objadany  
cicho przez korniki — do żywego drewna  
nogi scalowane — szuka lotra wzrokiem  
z prawej z lewej strony — wzrok zesztyniał

w niebie

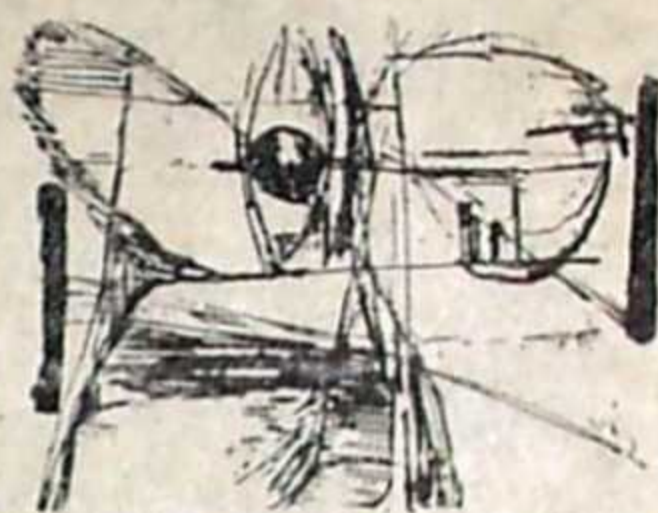
Koszalin

Wiesław Niemcewicz

## Czas odwrotu

Nie zamierzony czas odwrotu Odchodzę  
to znaczy przeszukuję znowu ziemię  
która odchodzi razem ze mną  
Tu pod okapem nieba wzdłuż i w szereg  
przemierzając pamięć doznaję siebie  
po raz setny i tak  
w gęstej od mroku szczelnie pamięci  
przesuwam się przed sobą tamten  
zastygły w bezruchu i widzę  
Wraz ze mną lasy porośnięte ciszą  
Zatrzymane rzeki Porzucone w nieładzie słowa  
Nadłamane gesty Spłowiałe wzruszenia  
bez wyrazu i bez niepokoju  
Wszystko statycznie martwe  
Pochylony nad sobą odmierzam z uporem  
swoją część przestrzeni  
— tyle nadziei niewiary a tyle powietrza  
— tu utykanie ciche a tu szamotanía  
— stąd dotąd nieobecność Nieistnienie w czasie  
I ucieczka w głąb siebie Odchodzę  
i zwracam nie posuwając się ani o krok  
Czas odlupuje ze mnie sekundę po sekundzie  
szie chwile.

Rzeszów



Andrzej Pawluczuk



Kiedy o świecie pokochali obecność północy w słońcu  
był szron na ich wargach — — —  
brzeg lasu łagodnie podchodził pod stopy  
przynosząc szept w wnętrzu miękkości i ciszy

a chłód szedł od ich rozwartych powiek  
kiedy tańczyli wgniatając w skały ciężar języków

tam weszli w otwarty pałac nieśmiertelny  
upomnieć się o siebie  
światło płynęło przez nich dalej  
niż oddech pogażu kostniejącej ziemi.

Lublin

Emilia Szczepańska

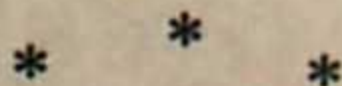
## Krajobraz

Parasole czerwieni wiatr na chmurze trzęsie  
Wśród gałęzi księżyc różę trzyma.

Na moście Izmiłowskim kołyszą się cienie.  
Barwne plóra przypięła ulicznica śmiechu.  
Pijany żebrek torbę rozpościera pustą.  
Poklon bije niebu.  
Ach, ty Gołodko!  
Dokąd?

Koszalin

Henryk Kozak



Obok siebie a tak dalecy w mroku nocy  
ujrzałem jak szedł z plamą w oku  
jak kłaniając się na boki  
w umarłe niebo wstępował

Więc pytam dlaczego mówię zostań dłużej  
patrz wiatr gałęzie płoszy idzie burza  
rankiem nad wosią stado wron  
z krzykiem  
zmieszają się z kluczem żurawii  
i zgrzybiałym wierzbowi wyrosną skrzydła

A ty tej nocy dlaczego bezwiednie  
idąc drogą przysypaną kłującymi igłami  
wstępujesz w niebo tak jakbyś wchodził  
w burzę

tam tylko gipsowe światełki śpią  
pod zwalonym szczerbatym płotem.

Lublin

Franciszek Ceglak

## w którym jesteś

dzień  
który od Ciebie odejdzie  
nie o mnie  
w nowej bezdrzewnej zapowie się dali  
i śmiech  
zrywany z wypełnionych ciężkim światłem  
oczu  
inną źródłaną bańą dopowie  
a przecież Ty byłaś przede mną  
w pełnym wschodzie nieba na ścianie  
Tobie  
zmaszwałem modlitwą płótna zdyszanego od  
lotu  
w którym jesteś kompozycja  
połączeniem  
odległej przeszłości ze szklitwem włosów

Rzeszów

Janusz Sikorski

## Discimus

Runął huk  
na łożu z ceglanego gruzu  
Rozpylona w echo detonacja  
powraca spóźniona a  
skamieniałe oczy  
zdrewniałe dłonie  
Rozbity żal  
mrzy liście wschodzącej wiatliny  
kruszy oporne kamienie  
obnaża ponurą konstrukcję  
Poznają ją —  
którzy nie znali —  
szkielet jej ciężkich narodzin  
doskonale — DOBRZE  
wymarzą piękniejsze ogrody  
za dobrze — NIEDOBRZE  
powstaną sprawniejsze armaty.

Lublin

Przerywniki: D. Opolski



Fot. Andrzej Polakowski

Zdzisław Toczyński

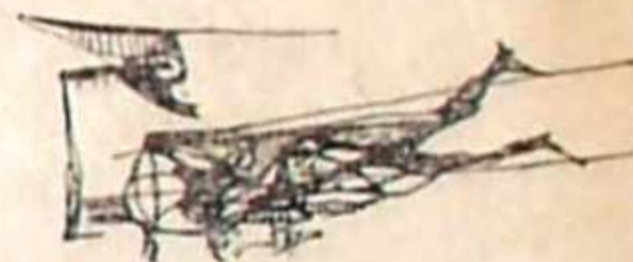
## Podlasie

Podlasie stół  
stada wron i kwiaty  
Iniany obrus pachnie dworem  
owczarzem

czarodziejem  
znachorem

Iniany obrus  
dzban  
gałęzie modrzewia jak wieczność  
tylko ja

Lublin



Zbigniew Krupowies

## Pejzaż

To nie osiedle fabryczne  
To  
siwe konie zeszyły z gór  
dzwonieniem kopyt  
porannym rżeniem  
słodkiego nieba  
zgiętego w podkowie  
zasiady dolinom chmury  
nie mogą udźwignąć  
siwych zadów  
ogromnie siwych  
na których słońce  
maluje wielkie kule dmuchawce  
— nie mogą udźwignąć  
Nawet ogony nie—  
więc tylko wznoszą się  
w pióropusze dymów.

Koszalin

O ZWROTNICZYM POEZJI POLSKIEJ

TANISŁAW Jaworski swoją książkę o Tadeuszu Peiperze rozpoczyna przypomnieniem jego powiedzenia, że w dniu jego narodzin w całym Krakowie były dzwony. Była to setna rocznica Konstytucji Trzeciego Maja. Jeśli choć jeden z tych dzwonów naprawdę zapowiadał narodziny autora „Nowych ust”, nie byłoby w tym wielkiej przesady. Bowiem — i to jest zdanie nie tylko Jaworskiego — postać założyciela „Zwrotnicy”, ściślej: jego postulat „stoją u podstaw polskiego awangardyzmu literackiego”.

Dzisiaj pozycja Tadeusza Peipera jest szczególna. Jego nazwisko pojawia się w każdym niemal artykule o nowoczesnej poezji polskiej, nawet niekiedy przywoływane bywa nadaremno, a Tędy uznano za jej nową Ewangelię. Sam Peiper w jego czasie nazywany był papierem awangardą i zwrotniczym poezji polskiej, a powtarzanie tego dźwięku graniczy z pospolicnością. Na szczególną uwagę składają się kilka elementów. Pisarz do dziś żyjący stworzył przed czterdziestu parą laty fakty, które od dawna przyjęte zostały w obręb historii literatury, choć swoją siłę inspiracyjną, nawet poprzez wywoływanie sprzeciwu, posiadają do dzisiaj. Rzecz zdumiewająca, że Peiper, przy mnogości polemik wokół jego teorii, poza pierwszymi latami swej działalności, nie występował jako polemista, komentator czy egzegeta własnych tekstów, nie bronili i nie wyjaśniałi dodatkowo swego stanowiska. Jest w tym coś z heroizmu, zwłaszcza wobec minożającego się pieniądza i autoreklamy, czego dowodów nie trzeba wskazywać.

Zdumiewająca jest jednak różnica między znaczeniem myśli poetyckiej a także twórczości oryginalnej Peipera, a stopniem dostępności jego książek. Kto wie nawet, czy ich nieobecność na czytelnicy rynku nie wzbudza zainteresowania nim, nie czyni przedmiotem mitu i legendy. Bo, szczerze mówiąc, ilu ludzi czytało wszystkie czy choć niektóre, tak przecież nieliczne, książki Peipera? A może lepsze jest życie pisarza w legendzie, bardziej długotrwałe? Sam jednak o pewien czas otwieram Tędy na dowolnej stronie, by patrzeć, jak pięknie pisze się tam o poezji i o sztuce.

Dramat ludzkiej pamięci

ROK 1967. Spory zakład przemysłowy w Szczecinie, ponownie po wojnie uruchomiony i odpowiednio wyposażony przez polskich gospodarzy tych ziem. W latach 1939-1945 obok mieścił się obóz, a w samym zakładzie pracował tłum „niewolników”. Jest też aktualny dyrektor obiektu, były żołnierz i Armii, który podczas walk znalazł się tutaj wraz ze swoim oddziałem i tu pozostał. Jest jego córka, przedstawicielka młodego pokolenia, dla którego status polski ziem to coś zupełnie naturalnego, jak chleb i powietrze, o co nie potrzeba już walczyć. Ale główny bohater powieści to inspektor ze Zjednoczenia, oprowadzający po zakładzie „branzwa” wycieczkę Niemców z NRP. Oni podziwiają świetne zagospodarowanie terenu i zakładu, on zaś przypomina sobie i na nowo przeżywa — metoda retrospekcyjna w nar-

razii — dawny swój bolesny los, który do 7. 1945 wiał go z tym miejscem — jako autobotnia, następnie brzoza wojennego, a w końcu „niewolnika” robotnika. Przechwytują się dawne i aktualne słowoty potężnej tego rejonu, pokazany jest jego obecny torow.

Z tym wszystkim byłoby to jeszcze jedna powieść, która ilustruje słuszną określonych rozstrzygnięć historii najnowszej, ale w której racja politycznych zadań, ideowych przesłanek, nie zawsze idzie w parze z artystyczną uczciwością i z całym skomplikowaniem realnego losu jednostki. Powiadają: „byłoby”, bo tak nie jest. Gdyby to się zdarzyło, chyba nie potrzebowałby poświęcać tej książce miejsca akurat w „Kamencie”. Ale autor wychodzi poza stereotyp, witalając dawny los głównego bohatera w trudną, aczkolwiek odważną, niosąc młodość z całym bagażem obcych swego narodu, czas wojny, zdecydowanych rozstrzygnięć i postaw, i Polak-niewolnik. Tragedia tego romantyzmu i jego — „abstrakcyjność”, można powiedzieć — „nieistotność”.

„Ślad człowieka” jest dramatem ludzkiej pamięci, notujące zarówno dzieje, w posiadaniu indywidualnego i ludzi będadych ich „niewolnika”, jak i jednostkowe sprawy — to zawsze z historią koherentną. „Życie nie lubi chyba wrotów — stwierdził. Nie są one nigdy tym, czym chciałyby się, aby były. Nie wróca również ci, co odeszli od nas. A jednak ślad człowieka szuka się w prochu ziemi i przedmiotów, wśród których żył i kochał. Nie chciał się z tym zgodzić, ale takie było prawo życia — ta kwestia dotyczy głównego bohatera. Lecz nie tylko o sam niejako wewnętrzny dram — „jakieśkolwiek” pamięci w

książce idzie, także o aktualne rozstrzygniętej pamięci między dwi wymiennie, a nie zawsze ze sobą zgodnie rejonu spraw człowieka. Bo główny bohater szuka, a raczej musi szukać, nie tylko śladów dawnej miłości, lecz również tropów człowieka, który, będąc członkiem niemieckiej delegacji, kojarzy mu się z drugą stroną — Niemcem. W końcu wszystkie te tropy zbiegają się w sposób nieoczekiwany i nowy — to konkretnie jedynostkowy w indywidualnym wymiarze bohatera: „Co on miał zrobić w tej sytuacji? — zapytał siebie. — Powinien właściwie iść z nim na milicję. Czy to jednak rozważałoby sprawę? Zycie stało się w tym wypadku najspawidliwym siedzi, a powróci tutaj oczyszczał go (Niemca) w jego (bohatera) oczach. Ale czy oczyszczał go w świetle prawa?”. Tym pytaniem kończy się powieść.

Pytania, które stawia Wągliw w swoim utworze, to nie są kwestie łatwe czy takie jakie. I one właśnie w sposób istotny dopęłniają naszą wiedzę o tamtych czasach. Ma on jego dalszych reperkuścach. Mam przeczenie, iż to są problemy formułowane w autobiograficznych. Władysław Wągliw urodził się w Grudziądzu w r. 1923, a więc należy do pokolenia Kolombów, zaś krajina jego dzieciństwa stykała się przecież z dawnymi terytoriami Rzeczy. „Ślad człowieka” jest jego debiutem książkowym, który został wyróżniony na konkursie na debiut ogłoszonym przez LSW i ZMW.

Wojciech Kurhan

Władysław Wągliw, Ślad człowieka, LSW, Warszawa 1968.

O mądrych których nie ma

NIĘ należy do zwolenników powieści fantastyczno-naukowej. Nie lubię książek Stanisława Lemy. Wcale nie dlatego, że w pełni solidaryzuję się ze zdaniem Jana Parandowskiego, który w „Luznych kartkach” zanotował: „Jest w tym coś niemięskiego kryć się ze swoimi poglądami za plecami przyszłości i stamtąd stroić grymas do swoich współczesnych. I po cóż wędrować tak daleko, by powiedzieć prawdę tak nam rzekomo potrzebną? Przede wszystkim nawet w najbardziej wymyślnych i zdawałoby się fantastycznych pomysłach nie ma nic fantastycznego. W naszych czasach zatrzaśnięte są wyraźne granice między fantazją a rzeczywistością. Wszystko jest po prostu możliwe. Osiągnięcia myśli technicznej wprowadzają w zdumienie i nieraz wręcz w osłupienie najbardziej zagorzalech

sceptyków. Zygmunt Pikulski, o którego debiucie książkowym chęć pisać na marginesie swoich opowiadań powiedział: „Wiek XX przyzywał ludzi do najrozmaitszych cudów, nikt się nie dziwi realizacji najśmielszych nawet fantazji...”. Szczerze powiem, że do czytania zbioru opowiadań fantastyczno-naukowych Zygmunta Pikulskiego „Nie ma mądrych” zabrałem się raczej z kolegami skiego obowiązku niż z zainteresowania tematyczną. W miarę jednak spożywania różni apetyt. Co więcej — przez kartki książki przebrnąłem bez znużenia, całkowicie zapominając o swoich wewnętrznych awersjach do tego typu opowiadań. Nie będę też ukrywał — przeczytałem je z pełną satysfakcją.

przedstawicieli, którzy często okazują się zwykłymi wyrobnikami, spekulantami czy wręcz szarlatanami. W „Nie ma mądrych” znajdujemy wiele gorzkich myśli skierowanych pod adresem Nauki wszechwładnie ogarniającej świat. Ale polubieżnie nie widać autora. Nie w tym zamyka się właściwy sens opowiadań. Nie zawierają one głąbkich, zbawicznych myśli, recept na przeobrażenie świata. „Nie ma mądrych” to wcale udane opowiadania sensacyjnej, świetna zabawa i rozrywka, kapitałna podróż w epokę, która nadejdzie wtedy, kiedy już dawno nie będzie nikogo z obecnie żyjących. Wówczas gazety będą miały już poza sobą etap zamieszczania reportażu z pierwszej podróży na Wenus. Będzie to era realizacji bliższych kontaktów z jedną — jak pisze autor — z okrajających planet Arcturusa (językiem porozumienia będzie, oczywiście, matematyka) i wszechstronnie stosowanej metody modelowania psychiki homo sapiens.

Trzeba jeszcze powiedzieć o języku książki Pikulskiego. Nie ma w nim zachwaszczeń pseudonaukowych ani skądinąd typowych dla powieści sensacyjno-kryminalnych. To wszystko sprawia, że książkę czyta się z zainteresowaniem. Jest to dojrzały debiut książkowy.

Al. Leszek Gzella

Zygmunt Pikulski — Nie ma mądrych, Wydawnictwo Lubelskie 1968.

Z książek nadesłanych

W rubryce „Z książek nadesłanych” Czytelnicy nie znajdują komentarza, a jedynie krótkie uwagi, które mogą zachęcić do przeczytania poszczególnych pozycji.

Leonid Grossman — „Dostojewski”. Autor — znany teoretyk i historyk literatury napisał wiele portretów literackich wybitnych pisarzy rosyjskich (Puškina, Lermontowa, Turgeniewa, Leskova). Niemniej przedmiotem jego szczególnych zainteresowań była twórczość Fiodora Dostojewskiego. (Czytelnik, 5 280 egz., 491 stron, cena 45 zł. Przetłóczył Seweryn Poliak).

Jan Tetter — „Błękitny kogut”. Jest to debiut powieściowy. Akcja rozgrywa się w okresie ostatniej wojny w wsi przygranicznej zamieszkałej przez ludność polską i ukraińską. Czołwiekiem i jego psychiką — to głównie temat książki. (Wydawnictwo Lubelskie, 5 600, 207 str., 14 zł).

Ewa Ostrowska — „Nim jabłoń zdzieli”. Książka stanowi trzecią powieść młodej pisarki łódzkiej, która tym razem nawiązuje do pierwszych lat powojennych. Autorka poddaje wielokrotnej analizie proces wrastania w nowe warunki życia osiedlających się na Ziemiach Zachodnich. (Czytelnik 7 280 egz., 132 str., 10 zł).

Jerzy Korczak — „Przeklęte wzgórza”. Opowiadania tematycznie związane z ostatnią wojną. W twórczości J. Korczaka dominują dwa równoległe nurty tematyczne: wojna i teatr. (Wydawnictwo Poznańskie, 15 000, 149 str., 12 zł).

Irena Dowgielewicz — „Mosi”. Zbiór opowiadań o tematyce okupacyjnej. (Czytelnik, 6 280, 236 str., 11 zł).

Ewa Szczepaniak — „Kwarantanna”. Akcja książki toczy się wspólnie w środowisku klinicznym mikrobiologów i epidemiologów, ukazując moralne konflikty grupy naukowców. Autor powieści jest absolwentem Kijowskiego Instytutu Medycznego. (Instytut Wydawniczy PAX, 3 000, 228 str., 15 zł. Przetłóczył St. Edward Buryl).

Łowy teatralne

Dokończenie ze str. 8

przejawy intrygi politycznej w Polsce, na panoszącą się magnaterię, na zdradzieckie poczynania targowiczów. Z pasją głosił równość wszystkich ludzi. I publiczność także pasjonowała się zawartością ideową utworu, dzieląc się w czasie spektaklu na dwa obozy.

Kiedy w r. 1950 wrocławski Teatr Wielki przywrócił „Henryka VI na łowach” repertuarowi scen polskich, w kontekście nowych postulatów społecznych mogło się wydawać, że sztuka Bogusławskiego jest już sztuką historyczną, pełniącą funkcję rozrachunku z feudalną przeszłością.

Dziś czytając na nowo tego „Henryka VI...”, odczuwamy wyraźnie, że są w nim pewne cechy charakterologiczne tak trwałe, jak w komediach Mollera. Apel o równość pulsuje życiem. Z kardynalnych zasad doskonałego społeczeństwa równość jest przeciwieństwem, która wymaga najdłuższego okresu realizacji, wymaga radykalnego przekształcenia natury ludzkiej.

Otóż spektakl Teatru im. J. Osterwy nie przekazał widzowi gorącej temperatury sztuki Wojciecha Bogusławskiego. Wydaje się, że dużym błędem było ustawienie pozytywnego Ryszarda, syna Kokla, po prostu na głupka. Skreślono mu m.in. monolog o jego doświadczeniach

w stolicy, uważając pewno, że dość o tych rzeczach gada Kokl. W ten sposób grający zanego młodzieńca Sylwester Woronicki został w grze pozbawiony autów.

Wreszcie sam Kokl, strażnik lasów królewskich. Odtwarza postać Jan Bógdół, aktor utalentowany, z dobrym warszatem zawodowym. Reżyser pozostawił mu w tekturce chyba wszystkie wyrzucenia ideowe i Bógdół nie jest przy tym ani odrobinę deklaracyjny. Jest pełen szlachetnej prostoty, realny, rzecz by można — od stóp do głów. Tylko że nie tenże w swe oskarżenia nowego gniewu, świeżego zapалу, zachowując cały czas ton pogodnie obiektywny. Nie mogło być inaczej: najłżejszy cień pasji rozsądzały kručącą koncepcję ogólnego rozbiawienia.

Muzyka Karola Stromengera, wędrująca ze sceny na scenę, ma dawno już stwierdzone zalety. Z apokryficznych piosenek Zbigniewa Krawczyńskiego Teatr Osterwy skorzystał umiarkowanie.

Wracam do najkrótszej recenzji pewnej uczennicy: „Fajnie!”

Będą chyba komplety.

Maria Bechczak-Rudnicka

»KAMENA«

Pismo Lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (redaktor naczelny Kółkiem Redakcyjnym), oraz: MIROSLAW DEBECKI, IRENEUZ J. KAMINSKI (kierownik działu publikacji) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA. Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe BSW PRASA, Lublin, Al. 1-go Maja 27. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. KRN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-32, sekretarz redakcji i dział publikacji 225-33

Korespondencje zwykła prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecony i ekspresowy — na adres redakcji.

Zam. 550 12.11.68. P-6

M. Garbusiewicz Lublin

„HAMLET I WIDZ”

Pragnę poinformować redakcję i czytelników „Kamenu” o tym, co zobaczyłem na przedstawieniu „Hamleta” w Lubelskim Teatrze im. Osterwy. Po pierwsze: zobaczyłem całkiem niezłe przedstawienie. Po drugie: dotarłem się... 48 widzów! Jako przybyły zwolennik teatru, przedstawiający też zresztą nad teletatry, sądzę, że to chyba w Lublinie, bo w Warszawie, gdzie mieszkam, dostanie się do teatru jest nie lada ucieczką. A może w tym właśnie dniu, kiedy byłem w Lubelskim Teatrze, gościł tu miesiąc stający już w Polsce kabaret „Bon-Girl”, popularny i sławny. Jego czasu w „Kulturze” przez Hamiltona?

Mirosław Drzewucki Warszawa

Od redakcji: Nie gościł.

Listy do KAMENY

ze z trudem, może przy pomocy nitki, ale zawsze przez ten labirynt przebrnąć można. Tymczasem labirynt to pojęcie p. Szaleckiego jest nie do przebycia, pent nie posiada nawet najmniejszej szansy, aby dobrać do dyrektora. To jest niegodne i z ubóstwieniem pojęciem labiryntu i z rzeczywistością. Nie zdarzają się zbytnio rzeczywistości, nawet dla potrzeb satyr.

Józef Kowalik Chełm

Niedoszła pacjentka znachora (Nazwisko i adres znane redakcji)

NIE ZACZERNIAJMY!

Rozumiem, że satyryk — parający się złoćcem czy ryśnięciem — ma prawo do jakiegokolwiek przedstawiania pewnych zjawisk, nawet do przejawiania ich. Ale i w tym musi być jakiś jeżeli nie umiar, to sens. W nr. 4 Waszego pisma ukazała się na pierwszej stronie seria rysunków satyrycznych L. Szaleckiego nad zabawę, niestety, aktualny temat: polaryzacja przed białką. Ale czy Pan Redaktor przyjrzał się dokładnie pierwszemu rysunkowi? Pomiędzy dyrektorem a pacjentą znajduje się całkiem duży labirynt. Sens labiryntu polega na tym,

„Z LEKARZEM U ZNACHORKI”

Piszę na gorąco — zaraz po zakupieniu ostatniej „Kamenu” — o związku z „reportażem na gorąco” Czesława Klepackiego pt. „Z lekarzem u znachorki”. To jednak chyba trochę wyjątkowy wypadek, gdy znachorka odsyła chorych do lekarza. Z zasady jest inaczej — znachorki i znachorki leczą na własną rękę, inkasując za to od natychmiast ucałe pokasznie, „honoraria”. Zresztą cożżiś z rzekomego leczenia, ale „co laska”, dobrovolne ofiarę, zurot kosztów za tzw. lekarstwa itp. Natychmiast się to różni — chodzi zaś o to, aby uniknąć postępowania o zawołowane leczenie i pobleranie wynagrodzenia za nielegalne zajmowanie się praktyką lekarską.

I nie mogę zrozumieć, że władze — prokuratorstwo, służba zdrowia czy Związki Zawodowy Pracowników Służby Zdro-

# „Junior”

**N**AJPIERW była ogólna radość. Na warszawskiej „scianie wschodniej” powstał wyrastać kompleks domów towarowych, z których mogłaby być dumna największa metropolia świata. Jeden z gmachów przeznaczony został na dom mody młodzieżowej i nazwany „Junior”.

W wywiadach prasowych dyrektorów nowego kompleksu handlowego nie było cienia kompleksu. Przyszłość domów malowano w różowych barwach, szczególnie radosnymi kolorami barwiono karierę najmłodszej inwestycji „Juniora”.

Alści, jak zwykli mawiać mój przyjaciel, sielanka nie trwała długo. Zakłócił ją Jerzy Putrament drukując „Zyciu Warszawy” felieton, w którym podał w wątpliwość całe przedsięwzięcie z „Junio” i lansowanie trw. mody młodzieżowej.

Cl, który waży się dziś na skrytykowanie czegoś, co może mieć przynajmniej młodzieży, w szczególności gdy chodzi o muzykę, modę czy zabawę, mogą być pewni, że im to nie ujdzie płazem. Putramenta nie uchronił żaden gwałt. Dostało mu się z lewa i prawa. Pisma młodzieżowe potraktowały rzecz stosunkowo wyrozumiale zauważając jakby mimochodem, że tak śliski mógł być udział pisarzowi, który wprawdzie do kategorii sędziwych ludzi jeszcze nie może być zaliczony, ale swoje lata już ma i trudno wymagać od niego, aby rozumiał potrzeby młodzieży.

Swego czasu pisałem już na tym miejscu o problemie mody młodzieżowej, sygnalizując nie dobre zjawisko wykorzystywania młodzieżowego pedu do nowości dla zblizania fortun przez barzdziel przedsięwziętorych producentów czapek, butów, toreb itp. Protestując przeciwko „Junio” w „Putrament” miał na myśli niewspółmierny do faktycznych potrzeb koszt społeczny forsowania odrebności młodzieżowej mody. Zwłaszcza w naszym kraju, gdzie przemysł nie jest jeszcze w stanie szybko i elastycznie reagować na zmiany upodobań, nie mówiąc o ich kształceniu, zaś hochsztaplerzy potrafia wypełnić drogą tandetą każdą lukę między prawdziwym lub sztucznie zapotrzebowaniem a zawartością sklepowych półek.

Odpowiedzialnie felietoniście, że nie ma racji. Wkrótce jednak fakty potwierdzą obawy Putramenta. To samo „Zycie Warszawy”, w którym ukazał się felieton skrytykujący koncepcję otwarcia „Juniora” zamieściło bardzo ciekawą informację. Przyjeżdżała dyrekacja domów towarowych na „wschodnią scianę” przeprowadziła szeroko zakrojony akcję zawierania umów z przemysłem na dostawę towarów, m. in. do „Juniora”. I co się okazało? Inakże wielu towarów, zaś to co jest — jest bardzo drogie i nie zawsze modne. Wyróżnia się przy tym sprawa ubrań. Okazuje się, że przemysł modne ubrania młodzieżowe produkuje, ale ich cena waha się w granicach od 2 do 3 tysięcy złotych.

I tu jest pies pogrzebany. Cena! W „Juniorze” mają być towary nie tylko młodzieżowe, ale przede wszystkim modne. Ich cena sięga, a nawet często przewyższa cenę podobnych artykułów przeznaczonych dla dorosłych. Moda młodzieżowa jest bardziej efemeryczna niż moda kobieca, czy dziewczęca. Szybko się zmienia. Modne ubranie młodzieżowe jest modne najwyżej jeden rok, często krócej. Młodzież ubierająca się modnie poddaje się rygorystycznie wszelkim zmianom swojej mody. Znam mieszkanki, w których dotąd leży po kilka par dobrych butów. Młodzi w nich nie chodzą, bo są niemodne, zaś starsi nie mogą ich nosić. bo

to zbyt ekstrawaganckie. To samo dzieje się z ubraniami, czapkami, skarpetkami. Dla kogo chce się otworzyć specjalny dom towarowy, kiedy wiadomo, że młodzież może kupować tylko za pieniądze rodziców? Dla kogo zawiera się umowy na ubrania po 2-3 tysiące zł, golfy po 500 zł, ponocuchy po 30\* zł? W jakim celu chce się upowszechniać bezmyślne szaleństwo, nazywające się modą młodzieżową i to co jest dziś sprawą garstki czyni problemem setek tysięcy?

Niedawno któraś gazeta polemizowała, że jedno z liceów zorganizowało zabawę taneczną i zarządziło, aby na salę wpuszczać tylko tych chłopców, którzy mają na sobie czarne garnitury.

Inny dziennik pisał, że w wielu szkołach nie zwraca się już żadnej uwagi na stroje, w jakim młodzież przychodzi na lekcje, wobec czego wśród chłopców obowiązują zagraniczne „tekasy” zaś wśród dziewcząt komisywa swetry.

Jak tak dalej pójdzie, to gdzie do tego, że rodzice zmuszeni będą zdecydować się byle jakim odzieniem, zaś ich dzieci będą miały pełne szafy ubrań. Na lekcje, na popołudnie, na wieczór, na zabawę szkolną, na uroczystość, na prywatkę...

Jak tak dalej pójdzie? Czy musi?

### BAR

## BIG-BEAT

# Trudno strugać chojraka

**P**ANIE Redaktorze! Ciekaw jestem, jaką minę miał ów przedstawiciel agencji „Interpress”, którego Dunka po zakończeniu tańca — buchnęła w mankiety! Biedaczce pomyliło się. Słyszała, że w

Polsce istnieje zwyczaj całowania po rękach. Kto kogo — to już była dla niej sprawa drugorzędna.

W Lublinie dyrektor (nie naczelny) pewnego przedsiębiorstwa budowlanego kontrolował przebieg prac zimowych. Po placu paletął się jeden z robotników, wyraźnie lawirując. Dyrektor zwrócił się do niego „od hultuski”: „Bo jak ich kopnę w d... , zaraz się weźmiesz do roboty”. Uśmiechając się odpowiedział: „A co, ja nie mam nog?”

Dyrektor nie miał na sobie stroju z nocy sylwestrowej. Jego język był daleki od literackiego, toteż riposta mogła go co najwyżej wyprawić w zakłopotanie. Riposta była zresztą stosunkowo kulturalna, chociaż robotnik, jak się później okazało, nie wiedział, kto do niego „przemówił”.

W innym znów przedsiębiorstwie pan Kowalski na zwyczaj przedstawiania się wymawiając na początku pierwszą literę swego imienia. Wygląda to mniej więcej tak: „A. Kowalski jestem”. Autentyczne! Można wówczas odpowiedzieć: „A ja jestem (np.) Zielński”. Lub „Kraśniński”.

Bo, niestety, pomylił się „futurolog związany z Lublinem”,

k którego cytuję Romuald Karaś w interesującym zresztą raporcie pt. „Kolejka” („Życie Literackie” z 16 lutego). „Wszystko nam dał, co dał mógł Panie!” — Jan z Czarnolasu (ur. 1330 w Sycynie (Radomskie), zm. 22.VII. 1541 w Lublinie).

To nie Jan z Czarnolasu, panie futurologu, a Zygmunta, paśniński w „Psalme dobrej woli”. Nie mam pod ręką encyklopedii, nie podaje więc daty urodzenia i śmierci trzeciego z Wielkiej Trójcy.

Pod ręką mam natomiast stośiołek i buteleczkę z ów felietonik piszę leżąc w betach. Nie mogę się wyłamywać: jeśli niemal cała redakcja „Kamień” przeniosła się z urzędowaniem do Łódki — trudno mi strugać chojraka.

Przed chwilą radio zakończyło „Podwieszerek przy mikrofonie”. Dawno już tej audycji nie słyszałem. Co się stało z Malinowskim i panem kierownikiem? Oba mają solidnie zaawansowaną sklerozę i szybko powinni pójść na emeryturę! To, co wygadują, jest nad wyraz żalosome. Jak to są mówić! Tylko usiąść i plakać! Słynny Rumian też cokolwiek przybladł. Pewien dwojg

można z powodzeniem przetłubić w ten sposób: pan Jerzy zwraca się do swej koleżanki biurowej, panny Zosi, per ty. Ona oburzona: „Przeleć nie pilimy bruderszaftu”. „Ale spaliśmy razem”. „Zosienko...”. „Jak pan śmieje”. „A wczoraj w czasie radiowego podwieszorku przy mikrofonie...”

Mnie też głowa zaczyna opadać. Przed snem jeszcze rzucam wzrok na „Argumenty” i „Kierunki”. Dziwna zgodność obu pism: i tu i tam znajdują felietony o grypie z wirusem Hong-Kong. „Kierunki” zapytują: „W ilu domach wirusotajcemu lekarzowi zaproponowano zdjęcie płożca, umyć rąk? W ilu podano mu szklankę herbaty? Ilu pacjentów... z okazji wizyty lekarza myśli o dokładniejszym umyciu się?”

U mnie jeszcze lekarz nie był. Jak podaje „Kurier”. Jedną trzecią lekarzy już zapadła na grype. Może więc i lekarze będą przyjmować chorych w łózkach? Poszukajmy wówczas... lekariki. Tak, tak, Panie Redaktorze, temperatura rośnie! Bez wyciągnięcia zagrypięonej dioni

### Jacek

## FELIETON Z REZERWY

# Nasze ciągoty

**O**STATNIO byłem na przyjęciu towarzyskim, na którym bogato zastawiony stół zachęcał do spożycia ozorków w galarecie, podróbek w sosie węgierskim, watórbki z cebulka i flaczeków. Prawde powiedzawszy, nikt z biesiadników nie zauważył braku schabu. Wszyscy natomiast gorąco chwaili faszerowaną gęśią szyjkę.

Przy dobrze zastawionym stole łatwo nawiązywać kontakty towarzyskie, zwłaszcza następując do przy kolejnym kieliszku. Wówczas i czas szybko płynie i tematów nie brakuje. Jesteśmy w stanie wyrazić swój sąd nie ma na każdy temat: ekonomiczny, polityczny, kulturalny. Nie brakuje także znawców różnych chorób, lekarzy „dusz ludzkich”, osób znających rozrachunek gospodarczy i mechanizm podziału dochodu narodowego. Specjalistów od stopy tyjowej i produkcji przemysłu tetenowego, od organizacji usług i turystyki. Znawców literatury i sztuki, a

nade wszystko polityki. Słuchając tytu „uczonych”, wypowiedzi można dojść do przekonania, że przecieł ci ludzie marują się, mogliby oni przynieść społeczeństwu niepośledni pożytek.

W miarę upływu czasu rozmowa koncentruje się przy stole w dwu podstawowych kierunkach: o bliźnich i jeszcze raz o bliźnich. W sposób dość umiędziwicie wiąże się ich sytuację życiową z dominującymi perspektywami. Uwadza się na stolkach kierowniczych i bez zająknięcia stamtąd ich się zdumiewają. Sądy są niejednokrotnie tak sugesttywne, że chwilami człowiek zaczyna wierzyć, że ci ludzie nie tylko mają rację, ale z pewnością mogą wiele decydować o naszym życiu. Jeśli bowiem kulturalnie wyglądający, starszy pan oświadcza w oparciu o wiarygodne słowa nacelnika X, że dyrektor Y jest już skńczonym facetem — to niby dlaczego mam temu nie wierzyć? Po takim zjawieniu rychlo zgromadzeni przechodzą do konkretnych rozstrzygnięć personalnych. Mówi się więc, kto odchodzi i kto na jego miejsce przychodzi. Dlaczego odchodzi i po co dają tego, który przychodzi. Decyzje są autorytatywne. Pije się więc z pomysłność nowych kadr kierowniczych, bo są to kandydaci dobrze znani zgromadzonym przy stole i w pełni według nich godni zaufania.

Kiedy przesunicia personalne zostają zgodnie dokonane i lista kandydatów zamknięta, zgromadzenie smakowsy gęsić szyjkę powoli skierowuje rozmowę na inny, nie mniej frapujący temat: o sytuacji rodzinnej bliźnich. Przede wszystkim podkreśla się rozkład małżeński rodziny X, potem Y, następnie ... zaczyna

brakować liter alfabety. Właściwie rozkład obejmuje wszystkie co znaczenie małżeństwa w Lublinie, poza oczywiście obecnymi przy stole. Tujaż żony wdzięcznie tulią się do swych mężów, namawiają czule „koteczka” do wypicia kieliszka jarzebiaku, podsuwają usuźnie ozorki w galarecie. Podrzucają sobie noski i pełnym uwielbienia wzrokiem ogarniają lyszące czołka swoich zacnych mężów.

Nie zauważyłem w tym ani cienia obłudy. Wszystko było tak naturalne, tak miłe i proste, że aż wprost do pozazdroszczenia. Zazdrościłem więc im szczerze tej spójni duchowej i tej harmonii i tej żelaznej trwałości w związku małżeńskim.

Wyjaśniono mi sytuację małżeńską tych rodzin na innym spotkaniu towarzyskim. Prawde powiedziałszy obecnie nie zazdrościć już im ani tego wielbiącego wzroku, ani zalotnych, pieścizliwych ruchów żon, ani dolewającego przez nie jarzebiaku do kieliszków mężów.

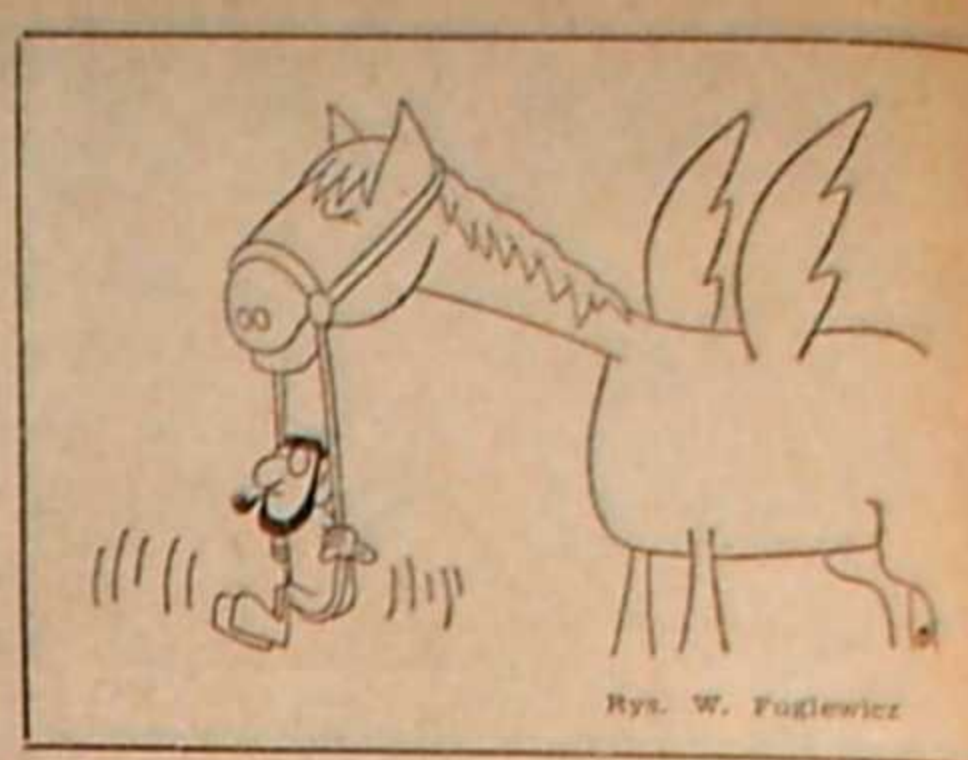
Przy stole nadal toczyła się cżywna dyskusja. Skoro bliźnich zdekonspirowano od strony predyspozycji kierowniczych i układów rodzinnych, przystąpiono do analizowania ich sytuacji materialnej. Kryteria były proste: posiada samochód, czy nie? O lodówkach, pralkach, telewizorach, odkurzaczach itp. nie było już mowy. Jest to bowiem temat dzisiaj dość wstydlivy. Kiedy jednak ośmieliłem się zauważyć, że nie tylko nie mam samochodu, ale nawet lodówki, uznano mnie za persona non grata w tym towarzyskim. Zauważyłem to przy rozlewaniu następnej kolejki jarzebiaku, przy której mnie pominięto, a żony mojej już nikt nie poczcstował nową porcją sztyki gęsi. Byłem wprawdzie w wielu krajach Europy, w

tym we Francji, Belgii, Czechosłowacji i ZSRR, widziałem mnóstwo samochodów, ale głównie korzystałem z publicznych środków lokomocji. Stąd nie wiedziałem co to może być, gdy paliwo nie dochodzi lub jak odpowiedzieć przewoźni, nie znam się na świcach samochodowych, ani na systemach chłodniczych. W przeciwieństwie do zgromadzonych biesiadników. Jeden z obecnych potrafił, jak to autorytatywnie stwierdził, nawet na agrafce umocować pływak w gaśniku i dojechać szczęśliwie do domu.

Gorzej natomiast było z Kodeksem Drogowym. Kiedy synalesem kilkoma paragrafami, spojrzano na mnie jak na wariat. Jak to — samochodu nie ma, a KD zna? Coś tu widocznie nie w porządku. Po kilku dniach dowiedziałem się, że oczywiście jestem posiadaczem samochodu i to „Simci”, ale mam ją zarejestrowaną na obce nazwisko. Podobno ktoś tam u mnie w domu widział lodówkę za 12 tysięcy złotych i francuski robot kuchenny, który wszystko sam robi i bardzo mało energii elektrycznej zużywa. Ponadto jestem posiadaczem spadku dolarowego i w perspektywie zamierzam na stałe osiedlić się we Francji. Co gorzej, że większość znajomych od stolu ma do dziś do mnie wielką pretensję, że się z tym wszystkim ukrywałem i tak ich szpnieć naciąłem.

No tylko nie przecze, bo gdybym to uczynił to i tak mi nie uwierzą. Boję się teraz tylko dzwonić do znajomych dyrektorów, a nuż któregoś już nie ma i skompromituję się wobec jakiejś sekretarki swoją absolutną niewiedzą lub co gorzej niedowiarstwem.

Aleksander Duniewicz



## NOTY i notki

**N**IE JA JEDEN czytuję putramentowe wspomnienia w „Współczesności”. Autor ujawnia wiele ciekawych rzeczy nie tylko z dziedziny literatury. W nr. 4 przeczytałem z zdumieniem: „Nawet poszedłem do teatru, choć mi się to zdarza raz na parę lat”. Brzydko się zdarza, że tak rzadko! I jak tu prognozować chodzenie do teatru wśród maluczkich?

**D**ZIWIWE RZECZY dzieją się w naszym wydawnictwach. Tak np. Państwowy Instytut Wydawniczy przepasza w prasie swoich czytelników, że książki formatu kieszonekowego są w tym roku o 6,3 cm wyższe niż w roku ubiegłym. Niespotykana galanteria! Dla odmiany Wydawnictwo Prawnicze wydrukowało książkę „Należności za podróże, delegacje i przeniesienia służbowe w kraju i za granicą” i to w nakładzie aż 20 000 egzemplarzy, nikogo nie przepaszając za niezwykle marnotrawnym papieru i pracy drukarni. A przecieł wszystkie te przesyłki można przeczytać w „Monitorach” oraz okólnikach czy pismach okólnych, na które i tak już zużyto zbyt wiele papieru.

**J**EST TAKI SYMPATYCZNY miesięcznik „Nasz klub”, wydawany przez ZMW. Jak wynika nie tylko z tytułu, zajmując się pracą kulturalno-oświatową w różnym rodzaju klubach. Gdyby wierzyć nie tylko słowom, ale i fotografiami zamieszczonym w miesięczniku, okazałoby się, że wśród bywałców i działaczy klubów tylko czwarta część stanowią mężczyźni. Np. w nr. lutowym zamieszczono 52 podobizny osobników pięciopięknej, a tylko 21 płci przeciwnej. Nawet wszystkie trz. kaci — krzyżówka, szachy, bridge, fotografie, repertuar — ozdobione są zdjęciami ładnych zresztą dziewcząt, chociaż wiadomo, że w szachach i bridge'u mężczyźni biją kobiety na głowę.

**A** WIĘC ZMIENIAM zdanie i po przeczytaniu artykułu „Czy to nie sen?” w nr. 2 „Widnokręgów” wolę dawne czasy — przynajmniej w tej dziedzinie. Czytam więc najpierw, że w przeszłości uważano, iż „jeśli mężczyźni śni się jabłko — to symbolizuje ono myśl o kobieciej pierści”. A potem: „O czym będziemy śnić w przyszłości? Być może o gramatyce”! Hrrr...

**S**CISŁOŚĆ NIE JEST w zbytniej estymie u niektórych autorów. W „Walcie Młodych” (nr. 7) Marzena Bauman pisze o pewnej brigadzie cementowni w Chełmie, na samym wstępie twierdząc w ich imieniu, że „Pamiętają, jak dziesięć — jedenaście lat temu wgrzyli się w ziemię koparkami”. A tymczasem ówe (pierwsze) koparki wgrzyły się w ziemię w 1953 r., więc to już eternacie, jeżeli nie liczyć wcześniejszych robót przy barakach hotelu robotniczego.

**W**YGLĄDA NA TO, że nikt nie czyta „Trybuny Ludu” w całości przed jej wydrukowaniem. W nr. 44 na szóstej stronie duży tytuł: „Oznaka pilnie poszukiwana”, a na stronie trzeciej jeszcze większy: „Porządek pilnie poszukiwany”. No i rzeczywiście...

**W** „POLITYCE” i „ZYCIU WARSZAWY” też nie najlepiej. Najpierw w „Polityce” Al. Paszyński pomylił się o jedno zero, co miało fatalny wpływ na kilka następnych zdań. Potem niedzielnego „Zycie Warszawy” (nr. 48) w tytule zamiast kropki, a właściwie spacji, umieściło zwykły przecinek. No i zamiast niemal dwóch tysięcy miliardów wyszły niecałe dwa miliardy, co — chyba nie tylko dla mnie — stanowi niejaką różnicę.

JOD



Nazwa naszej rubryki Poste Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante honorarium nie płacimy.

Miłość to jest, jak wiadomo, odwieczne źródło poetycznych natchnień i wzlotów. Dysponujemy sporym plikiem literackich dowodów na te tezę, o co postarali się nasi korespondenci. Niejaki „Adamowszczyk z Lublina” donosił: Przesyłam Wam trzy moje utwory w stylu notococzesnym bo pisane w słupkach. Możecie wydrukować te wiersze albo i na innych łamach jest to mi obojętne bowiem nie piszę dla pieniędzy. W swych utworach poruszam aktualne tematy: Wojnę i Miłość, Erotyki zrodziły się na ile moich przyręcz z Eliżbietą i Joanną, którym to dziewczynom dedykuję te utwory. Publikujmy oba:

<b>EROTYK I</b> Eliżbiecie	<b>EROTYK II</b> Joannie
Gdy patrzyłem na twe liceo wydawało mi się nieras że się czule pokochamy niby tata z niby mamą ale zab czasu wykruszył naszą miłość jak pień gruszy	W Twoich oczu skamienie utonałem jak w zachwycie i kochałem cię bo przecież bowiem ciężkie miałem życie odpeditem wszystkie smutki gdy dotknąłem twoje sutki jakże piękne masz kolana podziwiałem je do rana

Otóż to! Tak nas uradował Pan Adamowszczyk, że 23\* powiadamy cykl miłosnych wynurzeń na łamach tej rubryki. Zainteresowani niech cierpliwie czekają na swojej kolejność. Stanowczo nie doceniałimy tutaj należyte tego gatunku poetycznego. P. S. Niektóre „słupki” w „Erotyku II” musieliśmy połączyć ze względów technicznych.

## Odpowiedzi redakcji

**J. B.** w Krakowie. Sprawa jest prosta — to są niezłe wiersze, zagrabnie operujące motywami wiejskimi dla dwu odrębnych celów: poetycznego „zatrzymania” tego świata i szerszej refleksji humanistycznej. W Pańskich tekstach widać umiejętnie wykorzystanie materii słowa poetycznego dla określonych założeń myślowych. Radzimy zwrócić się do „Zycia Literackiego” w sprawie publikacji, u nas jest ona również możliwa, choć nie kryjemy, że bliżej naszemu sercu są autorzy zamieszkujący tereny „z urzędu” podległe „Kamieniu”. Nie wyklucone, oczywiście, że redaktorzy „Zycia Literackiego” mogą mieć inne niż my zdanie w materii Pańskich utworów.

**W. S.** w Warszawie. Tam, gdzie znajduje się Pan tw. poemat miasta, sytuacją człowieka stojącego wobec urbanistycznej cywilizacji, odnajdujemy pewne zależności od awangardy międzywojennego dwudziestolecia. Bardziej samodzielnie artystycznie wydają się wiersze, w których zawiera Pan refleksje nad ulotnymi momentami ludzkiego życia czy nad człowieczym losem w ogóle — ale tutaj trzeba wystrzegać się niebezpieczeństwa łatwizny. To nie może być również proza „z wierzchu” poetyzowana, myśl musi znajdować motywację w najgłębszej tkance słownej tekstu. Są pewne szanse na druk, ale przypominamy o konieczności wysyłania do redakcji maszynopisów.

**B. S.** w Lublinie. Wiersze nam się nie podobaly — m. in. dlatego, że będąc w Pańskim zamierzeniu przede wszystkim rodzajem intelektualnej poezji, są zbyt myślowo banalne. Niechże się zdarza, aby celownik w Pańskim wierszu potrafił zdobyć się na bardziej samodzielne i odkrywcze przemyslenia filozoficzne. Nasza rada: jeśli wystarczy Panu cierpliwości, to swój kontakt z literaturą niech Pan zaczyna od notowania obserwacji obyczajowych i psychologicznych, jakie niewątpliwie muszą się rodzić z tytułu wykonywanej przez Pana pracy. W ten sposób powstanie materiał na dobre opowiadania, nad którymi radzimy się zastanowić w przyszłości.

**W. C.** Pisze Pan o swoich literackich zajęciach: „Specjalnie to się tym nie pasjonuje, ale lubię tak po pracy poświęcić trochę czasu poezji”. Proszę Pana, tak nie można. Mielimy już okazję stwierdzić w tym miejscu, że nigdy nie dobrego powstać nie może (nie tylko w dziedzinie poezji) zresztą, choć w tej ostatniej szczególnie), gdy ktoś traktuje swoje zajęcia bez autentycznego zaangażowania. Pańskie „niedzielne pisarstwo” jest tego najlepszym przykładem.

**J. B.** w Radomiu. „Pamiętaj, protekacja to też wredna matka, utyczy ci pleców, lecz nigdy... posiadka”. Cytujemy dla Pańskiej satysfakcji i w obawie, by się Pan „na rożen nie nadział, jeśli nie wydrukują wiersza”, choć doprawdy trudno nam się dorozumić „drugiego dna” tej fraszki. Z pozostałych utworów nie skorzystamy.

**T. S.** w Chlewiach. Artykułu o Mieczysławie Smolarskim nie opublikujemy. Naszym zdaniem — powinien on bardziej zainteresować jakiś periodyk specjalistyczny. Przy tego rodzaju autorze, o jakim Pan pisze, ciekawi byłoby jego związków z Lubelszczyzną, a o tych artykuł miły.

**J. S.** w Kielcach. Zamiast Pańskiej nieco ogólnikowej informacji wolelibyśmy ujrzeć na naszym biurku artykuł samego autora rozprawy, traktujący w dostępnej publicystycznie formie o jakimś jednym wybranym problemie. Tematyka pracy wydaje nam się interesująca, już z tego względu, że dotyczy Kielecczyny.

**Z. D.** w Pabianicach, **J. W. S.** w Kielcach, **W. K.** w Olsztynie, **M. P.** w Cieplicach, **S. P.** w Rzeszowie — nie skorzystamy.

Droga Redakcjo, Drody Przyjaciele, Dzień dobry, Droga Kameno, Moi Drodzy, Kochany Redaktorze — takimi oto zyczliwymi słowy tytułują nas czytelnicy, a przede wszystkim potencjalni współpracownicy. Bardzo dziękujemy za miłe słowa. Równocześnie jednak przypominamy, że nawet najpiękniejsze tytuły nie skłonią nas do zwrocenia nie zamówionych materiałów, listownej korespondencji z zainteresowanymi i odczytowanymi nieczytelnymi rękopisów.